

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor.—4 Mrk. 25 fen.—1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop. W Ameryce: półrocznie 2 dolary 25 cts.— Rocznie 4 dol. 50 cts.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. Kraków, 15 stycznia 1910. Nr. 3.

Przed procesem.

(Treść na str. 2).



p. dr. Wł. Lewicki.

(Konferencya Janny Borowskiej z obrońcą dr. L. Szalayem.

Nr. 3. „Nowości illustrowanych“ zawiera: Powódź w Portugalii. — Pożar zamku królewskiego w Atenach. — Doroczny kurs narciarzy w Zakopanem. — Echo kradzieży na Jasnej Górze. — Jubileusz handlowców warszawskich. — Fatalne zderzenie. — Dygnitarze chińscy w Wiedniu. — Nowa ofiara awiatyki. — Lwowscy artyści w Wiedniu.

W następnym numerze „Nowości illustrowanych“ zamieścimy szereg dalszych zdjęć fotograficznych, odnoszących się do sensacyjnego procesu Janiny Borowskiej, oskarżonej o zamordowanie adwokata dra Lewickiego.

Przed procesem.

Ostatni akt wielkiej, sensacyjnej tragedyi, proces karny przeciw Janinie Borowskiej, oskarżonej przez prokuratoryę państwa o skrytobójcze morderstwo, na osobie ś. p. dra Włodzimierza Lewickiego popełnione, został zapowiedziany na środę bieżącego tygodnia.

Proces ten, jeden z najbardziej interesujących, jakie notują kroniki kryminalne, wywołał łatwo zrozumiałe zaciekawienie zwłaszcza wśród publiczności krakowskiej. Zainteresowanie to tłómaczy się nie tylko sensacyjnością i tajemniczością krwawej tragedyi, ale przedewszystkiem tem, iż bohaterami jej były osobistości, powszechnie tu znane. Ś. p. adwokat Lewicki, jeden z najtęższych prawników krakowskich i wybitny obrońca w sprawach karnych, cieszył się wielką popularnością, a w kołach towarzyskich miał ogólną sympatyę. Bardzo popularną była też Janina Borowska, w szczególności od czasu swego pamiętnego procesu przeciw redakcyi *Naprzodu* o obrazę czci. W procesie tym zastępował Borowską ś. p. Lewicki i od tego czasu datuje się ich znajomość.

Wiadomo, że między ś. p. Lewickim a Borowską istniał bliższy stosunek miłosny. W tym też stosunku szukać trzeba genezy tragedyi, a następnie tak smutnego jej końca. Koniec ten nastąpił w nocy na 5 czerwca u. r., a jedynym świadkiem była Janina Borowska. Znaleziono wówczas ś. p. Lewickiego w pokoju sypialnym jego mieszkania, leżącego w stanie nieprzytomnym między pianinem a otomaną, z przestrzeloną skronią i krwią oblanego. Mimo usilnych starań lekarzy, ś. p. Lewicki przytomności nie odzyskał i zmarł w kilka godzin później, zabierając ze sobą do grobu tajemnicę tragedyi, której padł ofiarą.

Wedle zeznań Borowskiej ś. p. Lewicki popełnił samobójstwo, śledztwo jednak, przeprowadzone bardzo szczegółowo przez dra Juliana Nowotnego, nagromadziło cały szereg poszlak, przemawiających przeciw twierdzeniu Borowskiej, a świadczących raczej za przypuszczeniem, że ś. p. Lewicki został zamordowany. Nie miejsce tu wchodzić w szczegóły wyników śledztwa i w treść aktu oskarżenia, wygotowanego przez prokuratoryę państwa. Szczegóły te znane są zresztą powszechnie ze sprawozdań w dziennikach oraz z obszernego opisu wypadku, zamieszczonego w *Nowościach illustrowanych* w zeszłym roku.



Przed procesem: Oskarżona Janina z Klecanów Borowska.

Mniej natomiast znane są szczegóły obrony Borowskiej i argumenty przez nią przytaczane na uzasadnienie twierdzenia, iż ś. p. Lewicki sam się życia pozbawił.

Przyczyną samobójstwa adwokata Lewickiego miała być mianowicie sprawa między nim a redaktorem Szczepańskim, który w liście otwartym z 1907 r. zarzucił ś. p. Lewickiemu cały szereg czynów niehonorowych. Załatwienie tej sprawy oddał śp. Lewicki Lidze obrony czci, a ważną rolę miała odegrać przed sądem Ligi Janina Borowska, a to z tego powodu, że była pośredniczką między ś. p. Lewickim a redaktorem Szczepańskim. Ponieważ jednak stosunki między ś. p. Lewickim a Borowską w lecie 1909 r. oziębiły się i zeznania jej mogły wypaść na niekorzyść ś. p. Lewickiego, przeto sytuacya jego stała się — jak twierdzi Borowska — wprost rozpaczliwa. Groziła mu ostateczna kompromitacya.

Tego rodzaju postawienie kwestyi przez oskarżoną nie wyjaśniło oczywiście tajemniczej tragedyi, ale nawet przeciwnie, rozwiązanie tajemnicy utrudniło. Przyczyniło się też do tem większego zainteresowania nią najszerszych kół publiczności.

Więc skwapliwie chwytano każdą wiadomość, która przedostawała się z celi więziennej, gdzie od pierwszych dni czerwca z r. przebywała pod zarzutem strasznej zbrodni Borowska. Wiadomości te były jednak bardzo skąpe, Borowską trzymano bowiem w zupełnem odosobnieniu, nie dopuszczając nikogo prócz urzędników sądowych do jej celi. Nawet obrońca oskarżonej, zaszczytnie znany w Krakowie adwokat dr. L. Szalay, dopiero po wygotowaniu aktu oskarżenia, mógł się ze swą klientką zobaczyć i porozumiewać w sprawach procesu.

Tymczasem nadszedł termin rozprawy przed ławą przysięgłych, specyalnie na ten cel wylosowaną. Wyznaczono jej początek na 12 stycznia. Wiadomość ta zelektryzowała formalnie cały Kraków. Od kilku dni o niczem się tu nie mówi, tylko o zbliżającym się procesie.

Nic też dziwnego, że kiedy prezydyum sądu k



Przed procesem: Pokój sypialny w mieszkaniu śp. Lewickiego, gdzie rozegrała się tajemnicza tragedya.

nego ogłosiło, iż w dniu 10 b. m. będą rozdawane bilety wstępu, a to osobno dla kobiet a osobno dla mężczyzn, tłumy publiczności od wczesnego rana zaległy korytarze gmachu sądowego, schody, sień parterową a nawet ulice sąsiednie, chcąc koniecznie zdo-



Fot. J. Sebald, Kraków.
Przed procesem: Obrońca Borowskiej, adwokat dr. Ludwik Szalay.

być choćby siłą bilet wstępu. Już z góry można też było przewidzieć, że zarządzenie wiceprezydenta Pogorzelskiego, domagające się osobistego zgłoszenia kompetentów, nie tylko nie ułatwi sprawy, lecz bardzo ją utrudni. Istotnie też stał się gmach sądu w dniu tym widownią niesłychanych i niepamiętnych skandalów. Dość powiedzieć, że wiceprezydent Pogorzelski przeciw tym samym kobietom, które swem ogłoszeniem do osobistego stawienia się zaprosił, a wśród których było bardzo wiele osób z najlepszego towarzystwa, zawezwał kilkunastu żołnierzy policyjnych i osobiście kierował akcyą „opróżnienia“ gmachu. Rezultatem zajść było uszkodzenie toalet bardzo wielu pań, z których tylko garstka zdołała zdobyć bilety wstępu.

Powtórzyło się to samo mniej więcej w południe, gdy zgłosiła się po bilety płeć męska. Wówczas jednak gorszące sceny rozgrywały się przeważnie przed gmachem sądu, którego bram strzegł silny kordon żołnierzy policyjnych.

Jedno z naszych zdjęć przedstawia właśnie tłum publiczności, otaczający zwartą falangą bramę gmachu sądowego, oraz walki z policyą. Ponadto poświęcamy w dzisiejszym numerze sprawie Borowskiej illustracyę tytułową, przedstawiającą konferencyę obrońcy adwokata dra. Szalaya z chorą Borowską w celi więziennej oraz szereg portretów osób, które w sprawie tej ważną odegrały rolę.



Fot. Kuczyński i Gürtler, Kraków.
Przed procesem: Ś. p. adw. dr. Włodzimierz Lewicki.

Fatalne zderzenie.

Straszne, ale dziwnym wypadkiem dość szczęśliwie zakończone zderzenie karety z pociągiem, wydarzyło się przed kilku dniami w pobliżu Wierzbołowa w guberni suwalskiej w Królestwie Polskiem. Oto radca komitetu tow. kredytowego ziemskiego i właściciel Szykszniewa w gubernii suwalskiej p. Ludwik Gramadzki, wybrał się z żoną i nauczycielką, p. J. Musiałówną powozem, zaprzężonym w czwórkę koni na przedstawienie amatorskie do Wierzbołowa. W chwili gdy powóz przejeżdżał przez tor kolejowy, lokomotywa pociągu osobowego, idącego z szybkością 60 wiorst na godzinę, wpadła z ogromną siłą na karetę.

W szalonym impecie parowóz uderzył w konie dyszlowe i przód karety, lejcowe zaś konie urwały się i ocalały. Konie i spiątaną uprzężą karetę, wraz z siedzącemi w niej osobami, pociąg wlókł około 50 kroków, rozbijając o wagony i druzgocąc wszystko w kawałki. Pojąć naprawdę trudno, jakim cudem wszycy ocaleli. Stangreta znaleziono o krok od szyn nieprzytomnego z głęboką raną na głowie; niebawem jednak odzyskał on przytomność. Pani Gramadzka ma obrażenia dość powierzchowne lewej ręki, p. Musiałówna zaledwie parę sińców, wszyscy jednak mają się dobrze.

Przyczyny wypadku szukać należy w niedbalstwie funkcyonaryuszów kolei, gdyż baryery, pomimo zbliżania się pociągu, były otwarte, a stangret i foryś, który jechał z latarnią przed karetą, wskutek mgły i ciemności nie mogli spostrzedz pędzącego wskutek opóźnienia z nienormalną szybkością pociągu. Uderzenie w pociągu było tak silne, że pasażerowie pospadali z ławek; maszynista natychmiast pociąg zatrzymał, rannych pp. Gramadzkich opatrzono i zabrano do wagonu.

Pan Ludwik Gramadzki, który jest zawołanym sportsmenem i automobilistą i nieraz już śmierci w oczy zaglądał, dodaje, że równie strasznego wrażenia w swem życiu nie doznał.

Z pośród szczątków karety wszyscy powstali z uśmiechem szczęścia i radości, że tak cudownie życie ich ocalało.

„Betleem Polskie“ w Zakopanem.

(Do illustracyi na str. 18).

Jednym z ważnych czynników, podnoszących oświatę i kulturę naszego ludu, jest bezsprzecznie teatr i chór włościański, gdyż oddziaływują one bez-



Przed procesem: Sędzia śledczy dr. Julian Nowotny.

pośrednio nie tylko na rozum, ale także na uczucie i wyobraźnię szerokich rzesz, wprowadzając je w sferę piękna i wzniosłych ideałów społecznych i narodowych.

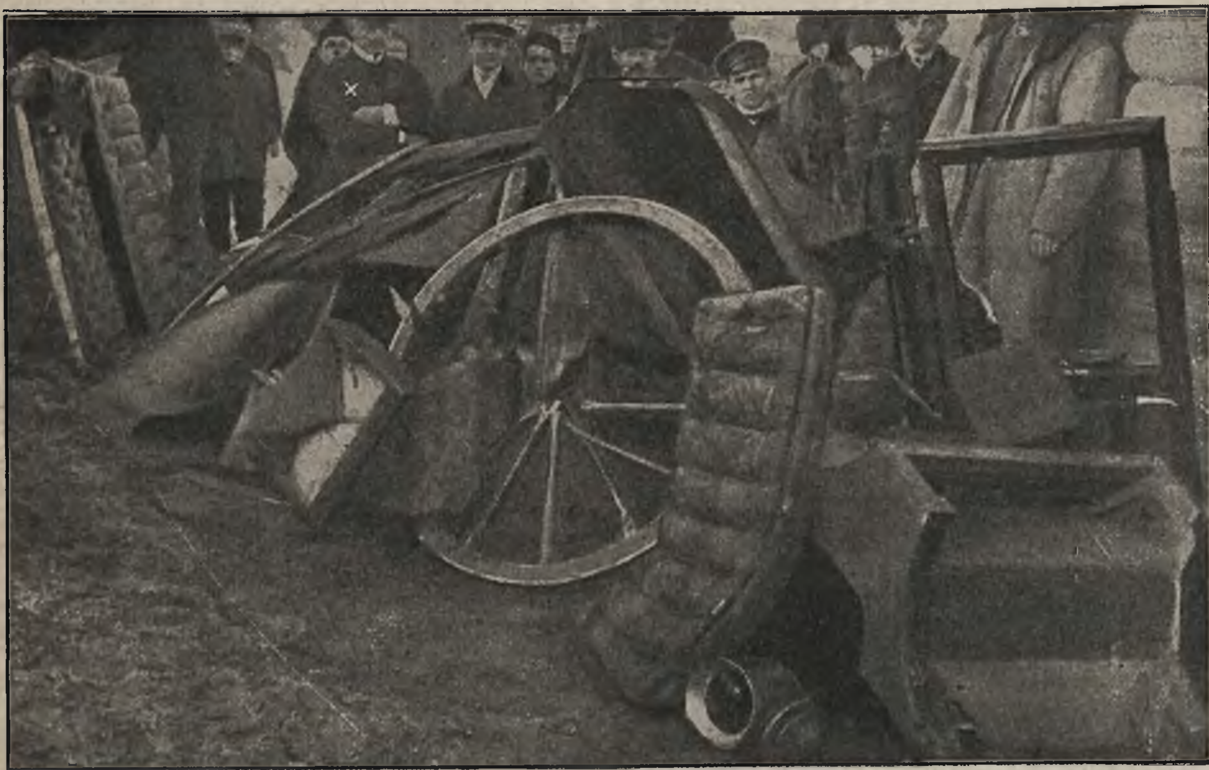
„Związek Górali“ w Zakopanem, mając te względy na uwadze, urządza rok rocznie oryginalne, oparte na rodzimych motywach, przedstawienia, znane pod nazwą „Wieczornic góralskich“. Ostatnio zaś członkowie tegoż, zorganizowani w osobne Kółko teatru i chóru włościańskiego, odegrali niedawno „Betleem Polskie“ L. Rydla i przyznać trzeba, że wywiązali się z podjętego zadania należycie. Wielkie za to uznanie należy się organizatorom pp. Pawlicy i W. Rojowi, tudzież amatorom, złożonym z górali i góralek, którzy nie szczędzili czasu ni trudów, aby tę podniosłą sztukę godnie przedstawić. Prawdziwa zaś wdzięczność należy się autorowi, dr. L. Rydlowi za stworzenie tej sztuki, w której nasz lud oprócz pod-



Przed procesem: Publiczność, oczekująca pod gmachem sądowym na bilety wstępu na rozprawę Borowskiej.

niosłych wrażeń poznaje niejako w streszczeniu historyę Polski.

Przedstawienie powiodło się pod każdym względem i pożądanem jest, aby „Związek Górali“ częściej urządzał podobne przedstawienia.



Fatalne zderzenie: Resztki karety p. Gramadzkiego (X) rozbitej przez maszynę pociągu osobowego.

Powódź w Portugalii.

(Do illustracyi na str. 10.)

Wielka klęska nawiedziła w ostatnich dniach krainę portugalską. Wskutek ulewnych deszczów mianowicie, które przez dłuższy czas padały, wezbrało kilka rzek, a zwłaszcza wielka rzeka Douro, która też wystąpiła z brzegów i zalała wiele wsi i miast.

Najdotkliwiej ucierpiało wskutek tej żywiołowej katastrofy Porto, najbardziej handlowe i przemysłowe miasto Portugalii. Uszkodzone więc zostały zabudowania i urządzenia portowe, a bardzo wiele okrętów porwała woda i zaniosła na mieliznę, przy ujściu rzeki. Także w ulicach miasta szkody były ogromne, gdyż woda zalała je zupełnie, dosięgając metrowej wysokości. To też w czasie powodzi przypominało Porto widok Wenecyi, zwłaszcza że dużo tam budynków starodawnych, o średniowiecznej architekturze. Gmachy te najbardziej też wskutek zalewu ucierpiały.

Teatr lwowski w Wiedniu.

(Do illustracyi na str. 13.)

Teatr lwowski w dniu 12 b. m. wystąpił w Wiedniu w zbiorowem przedstawieniu, urządzonem na dochód „Bühnenvereinu“. Prócz polskich artystów ze Lwowa wzięli udział w tem przedstawieniu zbiorowem artyści czescy, niemieccy i węgierscy. Już sam fakt, że na scenie wiedeńskiej ukazali się artyści polscy ze Lwowa wraz z pierwszorzędnymi artystami czeskimi i innymi, stanowił pierwszorzędną atrakcyę dla publiczności wiedeńskiej. Jeśli dodamy do tego, że dyr. Heller wybrał na popisowe przedstawienie przed Wiedeńczykami „Pana Beneta“ Al. hr. Fredry, to okaże nam się zrozumiałem niezwykłe zainteresowanie się tem przedstawieniem Wiedeńczyków.

W przedstawieniu przyjęła udział oprócz personalu dramatycznego teatru lwowskiego także p. Bohuss-Hellerowa, która wystąpiła w 1 akcie „Cyganeryi“ Pucciniego wraz z głośnym tenorem opery nadwornej Maiklem.



Przed procesem: Dr. Maryan Borowski, mąż oskarżonej.

Dyr. Heller nie szczędził starań, by przed publicznością wiedeńską wystąpić z całym przepychem i wspaniałością.

Z personalu dramatycznego wzięli udział w przedstawieniu „Pana Beneta“ pp. Irena Trapszo, Adwentowicz, Chmielnicki, Feldman (rola tytułowa) i Walewski. Portrety tych artystów zamieszczamy w dzisiejszym numerze, wraz z portretem p. Bohuss-Hellerowej i dyrektora L. Hellera.



Fatalne zderzenie: Pogruchotane koła karety, złożone tuż obok miejsca wypadku.

Albert Boissiere.

Człowiek bez twarzy.

5

(Ciąg dalszy).

— Wiedziałeś jednak ojcze, o mej kompletnej wzgardzie i obojętności względem spraw pieniężnych i dlatego twój środek nie mógłby mnie zawrócić z drogi, po której chciałbym iść dalej. Zamiary moje nie były tak niewzruszone, jak mi się to zdawało początkowo!... Człowiek poddaje się iluzyom, a ja je sam sobie stwarzałem! Wierzyłem szczerze, że kocham Łucyę Weill całą swą duszą i dopiero ostatnie wypadki, dopiero twoja brutalna interwencya, sprawiły razem to, iż nastąpił zwrot w kierunku mych uczuć, iż przekonałem się o swym błędzie!

— Winszuję ci tego — odezwał się Joe Duncan, który z palcami, założonymi za kamizelkę słuchał z zadowoleniem swego syna.

— Nie winszuj mi, ojcze, zbyt śpiesznie!... Kocham inną kobietę...

— Co mówisz? — podskoczył na swym fotelu milioner.

— Mówię, że miesiąc czasu poświęciłem na zbadanie swych nowych uczuć!... Miesiąc czasu zużyłem na odkrycie w głębi swego serca szlachetnej miłości, za którą nie będziesz potrzebował ojcze rumienić się tym razem!... Jest to młoda, zachwycająca panna, o szlachetnej duszy i pięknym charakterze i jestem pewien, że ani ty, ani Jonatan Brentano nie będziecie opierali się mym nowym zamiarom. Już miesiąc czasu, jak grywam w każdy wieczór w bridża z panem Marcadianem. Kocham jego siostrzenicę i proszę cię, ojcze, o pozwolenie poślubienia Eweliny Barrabas!

Potem, nachylając się w moją stronę, dodał z domyślnym uśmiechem:

— Tym razem, panie Jonatanie, pański wybieg, choćby najbardziej oryginalny, nie byłby na ulicy Michel Ange uwieńczony powodzeniem... Inna rzecz, gdy chodzi o poślubienie Eweliny! Tak... tak... Ewelina, to nie Łucya!

Willam Duncan nie zauważył przerażającego zdumienia, jakie mną ogarnęło, zdumienie bowiem jego ojca było stokroć razy większe... Król papierowy i ja spoglądaliśmy na siebie z półotwartemi ustami, niezdolni do wypowiedzenia żadnego słowa... Joe opanował się pierwszy, wstał ze swego fotelu, odetchnął tak głęboko, iż zdawało się, że to zagwizdała syrena okrętowa, wyciągnął przed siebie swe potężne ręce, opuścił je następnie na me ramiona, aż się ugiąłem pod niemi i spoglądając mi prosto w oczy, zapytał grzmiącym głosem.

— I cóż ty na to powiesz, Jonatanie?

— To... to... wymaga zastanowienia! — wyjąkałem z trudem.

Naraz Joe powziął jakieś postanowienie. Nacisnął kapelusz na głowę i oznajmił:

— William! jestem gotów towarzyszyć ci do Marcadiana, którego podstępną grę pojmuję teraz... i którego zmieszanie w czasie jego wizyty przed dwoma tygodniami przypominam sobie doskonale!... Ciekawy jestem ujrzeć twą nową narzeczoną!... Po dziewczynie takiej, jak Łucya Weill ofiarujesz, mi teraz na zmianę za synową dziecko mordecy!

— Barrabas jest niewinny! — zaprzeczył gorąco młody człowiek, czem mi sprawił wielką radość.

Joe nie odpowiedział nic, wzruszył tylko swemi szerokiemi ramionami i poszedł do westibulu po laskę.

William skorzystał z tego, by zbliżyć się do mnie. ...Podszedł szybko ku mnie, zarzucił ręce na szyję i ściskając z serdecznością, jakiej nie mogłem zrozumieć, szepnął mi pocichu do ucha:

— Jakże ja kocham cię, drogi ojcze i jak jestem szczęśliwy, że cię odnajduję.

Uczułem, jak krew ucieka z mego serca; omal, że nie omdlałem jak kobieta przy tych tajemniczych i przerażających słowach... Jego ojciec?

VII.

Siedząc w parku na ławce w końcu alei grabowej, ulubionem mojem miejscu spacerów z łokciami na kolanach, z twarzą wspartą na rękach, starałem się uporządkować swe rozpierzchłe myśli... Nowy obrót rzeczy, wprowadzony w me obecne życie przez Williama Duncana, nie dawał mi spokoju... Naprzód odczułem coś, jak wielkie, niespodziewane szczęście, które w pierwszej chwili nas przygniata, jak radość, która tamuje nam ze wzruszenia oddech w piersiach... Fakt ten, że prawie nazajutrz po strasznym wypadku, który winien zaciężyć na całej przyszłości Eweliny, odkrywa się przed nią życie bez trosk, wydał mi się raczej cudem lub złudzeniem, niż rzeczywistością... I istotnie musiałem przyznać, że od chwili, gdy spotkałem u Marcadiana amerykańskiego milionera, życiem mem rządziły jakieś nieprawdopodobne zdarzenia. W niebezpiecznem jednak położeniu, z jakiego nie mogłem teraz wybrnąć, jeden cud więcej lub mniej nie sprowadzał wielkiej zmiany. Po głębszym namyśle, po zatarciu całej przeszłości, a spokojnem rozważeniu tylko przyszłości, doszedłem do przekonania, że wmieszanie się w moje przygody syna milionera może wszystko pogorszyć i nie przynieść żadnej korzyści Ewelinie. Było widocznem, że Joe nie zgodzi się również i na to drugie małżeństwo. Nie będzie już miał takich argumentów, jakie miał przeciw Łucyi, wynajdzie sobie jednak inne, a niemniej dotkliwe.

To było przytem pewne, iż ja znajdowałem się w najzupełniejszej zależności od tego człowieka. Ach! gdyby ten głupiec Marcadian miał odwagę przy pierwszej swej wizycie wyznać prawdę, zamiast wykręcać się niedołężnie, może mógłbym razem z Joe znaleść do tej pory jakie rozwiązanie, nie przynoszące nikomu krzywdy. Teraz już nie czas było na żadne wybiegi! William postawił ojcu stanowcze ultimatum, Joe zaś miał takie usposobienie, iż mógł je przyjąć i cała ma dyplomacya nie przydałaby się już na nic. Koniec końców zrezygnowałem ze wszystkiego i oczekiwałem nieuniknionej katastrofy, jaka miała nadejść. Zostanę odkryty i cała pomysłowość, jakiej użyłem, by zniknąć i śmierć mej nieszczęśliwej żony okryć pozorami niezgłębionej tajemnicy, nie przyda się na nic. Nie mogłem nawet przewidzieć dalszego biegu wypadków. Domyślać się postępowania, jakie przyjmie milioner, wyobrażać sobie to, do czego jest zdolne podobne indywiduum w podobnych okolicznościach, było to ponad moje siły!

Nie pozostawało mi nic innego, jak tylko z sercem, pełnem goryczy, z umysłem zasępionym najczarniejszemi przypuszczeniami, oczekiwać cierpliwie jego powrotu. Wstałem z ławki i poszedłem przejść się po aleach. Gdy zamierzałem wyjść poza ogrodzenie, nagle jakaś ciężka ręka spoczęła na mem ramieniu. Był to negr, palacz Bambu, mój dozorca, który rzekł mi, śmiejąc się bezmyślnie:

— Pół obrót, panie!... Zabroniono!

Domyślałem się, że Joe Duncan przed wyjściem wydał odpowiedni rozkaz, nie robiłem też żadnych trudności i wróciłem do domu. Z biblioteki pałacowej wziąłem książkę i starałem się zająć czytaniem „Niezwykłych przygód“ Edgara Poego... Trafiłem jednak źle. Otworzyłem książkę na tym ustępie z *Morelli*:

„W istocie nadszedł obecnie czas, w którym tajemnicza natura mej żony coraz bardziej mnie przygniatała. Nie mogłem już znosić dotyku jej palców bladych, ani głębokiego brzmienia jej dźwięcznego głosu, ani blasku jej melancholijnych oczu. Ona wiedziała o tem, nie czyniła mi żadnego wyrzutu, zdawała się widzieć mą słabość czy też me szaleństwo i z uśmiechem nazywała to swem przeznaczeniem“.

Odrzuciłem książkę na półkę!... Nie! nie! Gabryela nie była Morellą.

Przyszli dostawcy i oderwali mój umysł od ciągłej troski. Był to krawiec, który przyniósł mi jak najwytworniejszy garnitur frakowy na jutrzejszą ceremonię! Myśl o tem wywołała na mych ustach żałosny uśmiech... Następnie zjawiły się szwaczki z wielkimi kartonowymi pudełkami, z których wydobyły suknię brokatową i ślubny welon dla Łucyi Weill... Bambu przyjmował ich wszystkich z prawdziwie afrykańskim wdziękiem. Dla rozerwania swych myśli wziąłem inną książkę z etażerki... Zacząłem przeglądać ją niedbale... Przystąpiłem już do czytania nowelli: „Metzengerstein“... Trafiłem jednak z deszczu pod rynnę... Pierwsze zaraz wiersze zirytowały mnie zupełnie...

„Przerażenie i rozpacz rządzą ludzkością“....

Podniosłem oczy od książki i ujrzałem coś, co odrazu zmieniło kierunek mych czarnych myśli. Przed lustrem stał Bambu w śmiesznej pozycyi i wykrzywiając się w dziwaczny sposób, przymierzał na swej czarnej głowie o krętych włosach wianek z kwiatu pomarańczowego; uśmiechał się przytem radośnie, okazując dwa rzędy białych zębów. Widać było, że jest bardzo z siebie zadowolony. Na ten widok wybuchnąłem szczerym śmiechem, który mi sprawił pewną ulgę...

— To już jest niepotrzebne! — zauważył.

Godzina obiadu zbliżała się, a Joe Duncan nie powracał. Kazałem negrowi, by poszedł do Łucyi i poprosił ją do stołu. Potrząsł tylko przecząco swą okrągłą głową i roześmiał się krzykliwie:

— Nie można, panie! Zabroniono.

— Ach! tak! — zawołałem... Ona jest pod strażą Dżiina!

I przyszła mi na myśl scena, którą słyszałem poprzednio w swym pokoju. Bambu postawił, nie spiesząc się, jedno tylko nakrycie w pokoju jadalnym...

— A Łucya? — nalegałem... — A twój pan? Dobry negr zrobił jakiś niewyraźny ruch...

— Mój panie?... Tam!... Tam!...

Potem dodał z sapnięciem, które miało wyrażać westchnienie na znak ulgi:

— Łucya?... Tfiiut!...

I wskazał na okno, jakby chciał wyrazić, że ona już wyjechała, została uwolniona, jak ptak z klatki.

Jadłem obiad bez najmniejszego apetytu... Joe Duncan wrócił od Marcadiana dopiero o dziewiątej wieczorem... Ma się rozumieć, że nie spałem wcale, chcąc czekać na niego choćby przez noc całą. Ku memu wielkiemu zdumieniu był on zupełnie spokojny, a nawet muszę dodać, iż nigdy go jeszcze nie widziałem w tak pokojowem usposobieniu... To jednak zamiast mnie natchnąć dobrą myślą, jeszcze bardziej zaniepokoiło...

— Ach! oczekiwałeś mego powrotu, Jonatanie! — zwrócił się do mnie — to bardzo piękne z twej strony!

Bambu zdjął z niego zarzutkę. Przyglądałem mu się przy lampie. Człowiek ten, wybuchający gniewem przy każdej sposobności, miał teraz na twarzy maskę zatrważającego spokoju... Maska ta miała nawet wyraz pewnej dobroduszności, zaprawionej jednak, jak mi się zdawało, złośliwością. Na etażerce w salonie złożył ostrożnie dwie małe paczki, starannie owinięte w papier... Gdy negr chciał się ich dotknąć, krzyknął Joe natychmiast:

— Nie ruszaj, kanalio!

Po cichu wydał mu kilka rozkazów, z których nie dosłyszałem ani słowa, potem powrócił spokojnie i siadł naprzeciw mnie.

— Wszystko bardzo dobrze! — zaczął śmiało i bez najmniejszego zakłopotania... Widziałem na własne oczy pannę Ewelinę Barrabas, która okazała się rozkoszną młodą panną, bardzo dystyngowaną... nadzwyczaj dobrze ułożoną i wychowaną... i byłbym tym razem już barbarzyńskim ojcem, gdybym sprzeciwiał się szczęściu Williama, jego narzeczonej i pańskiemu.

Ze zdumienia nie mogłem wypowiedzieć żadnego słowa.

— Och! — mówił dalej — niech się pan nie dziwi, że tak prędko, bez dyskusyi zgodziłem się na ten źle dobrany związek... Mam swój plan, który panu odkryję w razie potrzeby. Mówię to w tej myśli, że nasz osobisty związek nie jest oszukańczy, nie prawda? Należy pan do mnie ciałem i duszą.

Kiwnąłem potakująco głową.

— Za tę cenę zapewnię szczęście panu i pańskiej córce... Na razie to tylko mogę panu powiedzieć. Co zaś do moich zamiarów, to pozwoli pan, że je zachowam jeszcze przy sobie... W miarę, jak będą się one spełniały, pojmie pan całą ich nieodzowność. A teraz niech pan śpi spokojnie, zwłaszcza wobec tej dobrej wieści, jaką panu przyniosłem i która, jeżeli jest pan roztropny, powinna napełnić serce pańskie radością i dumą... Niech pan idzie spać i śni przyjemnie!

Bambu ukazał się znowu ze świecą w ręku, by mi towarzyszyć na tajemniczy znak, jaki dał mu jego pan.

— Przepraszam! — zauważyłem... — ale Lucya Weill i jutrzejsza ceremonia w merostwie w Neuilly!... Jakie postanowienie pan powziął?...

Joe Duncan podszedł ku mnie, ścisnął mnie silnie za rękę i odpowiedział:

— Łucya Weill?... Pańskie małżeństwo?... Och! znaleźliśmy coś daleko lepszego, mogę pana zapewnić!... Przypuszczam, że panu nie chodzi zbytnio o Łucyę Weill...

I dodał, kładąc nacisk na każde słowo:

— Łucya Weill nie istnieje już! Lub mówiąc jaśniej, Łucya Weill jest jak Barrabas, jak jego syn Polidor... ona jest i musi być jakby nie istniała wcale! — Zrozumiał pan teraz?

Chłód przeleciał mi po plecach. Pewność siebie tego człowieka więcej mnie przerażała, niż jego gwałtowność. Przypomniałem sobie wyrażenie Łucyi: „Człowiek ten zdolny jest do wszystkiego!“ i moje własne słowa: „Posunie się aż do zbrodni!“ Bardziej zmieszany niż kiedykolwiek, udałem się do swego pokoju, odprowadzony przez Bambu ze świecą.

Nieprzyjemnie mnie zdziwiło zamykanie mych drzwi na klucz przez negra, skrupulatnego wykonawcę otrzymanych rozkazów. Ostrożność ta, której już zaniechano od pewnego czasu, bardzo mnie zirytowała... Z jakiej racyi ją wznowiono? Noc była jasna z miljardami gwiazd... oparłem się o okno, by w świetle księżyca marzyć o tem, co nazywałem początkowo szczęściem Eweliny. Przygód swego syna nie mogłem natomiast nawet domyślać się.

Przeznaczenie Polidora musiało dopełnić się również szczęśliwie tajemniczo jak i moje, jeżeli policya do tej pory nie wpadła na najmniejszy jego ślad. Co zaś do losu mej drogiej żony, Gabryeli, to on był już dokonany; i jeżeli miałem w głębi siebie na każdą chwilę dnia, jako pobożne wspomnienie o niej, myśli pełne litości i bolesnego żalu, to muszę jednak wyznać, że starałem się oddalić je od siebie. Nie powinienem był przejmować się daremną sentymentalnością; nie rozchodziło się już teraz o ofiarę, lecz o tych, co ją przeżyli... o Polidora, Ewelinę i wreszcie o mnie samego! Przeznaczenie Eweliny tak ściśle było złączone we mnie z przeznaczeniem Polidora, iż nie mogłem myśleć o jednej, by nie życzyć zaraz drugiemu takiego powodzenia jak moje, by pozostał na zawsze w oczach świata, jakby nie istniał wcale!

Ile czasu pozostawałem tak, oparty o okno, przyglądając się gwiazdom na niebie, które może jedynie mogły czytać w głębi mego serca? Musiałem już tam być godzinę pogrążony w swych dumaniach bolesnych, gdy nagle w sąsiednim pokoju, zajmowanym przez Łucyę Weill, rozległ się hałas jakiejś kłótni. Cofnąłem się szybko i zamknąłem okno. Bambu, pragnąc swoją mimiką wpoić we mnie przekonanie o odjeździe młodej kobiety, przekonał mnie raczej o czemś zupełnie przeciwnem... Wykrętna odpowiedź Joe Duncana również nic mi nie wyjaśniła... Teraz słyszałem wyraźnie grzmiący głos milionera i rozpoznawałem ostry sopran Łucyi, podniesiony aż do najwyższych nut... Pewny byłem, że Joe czekał, aż zasnę, by przyjść porozumieć się ze swą zbyteczną już wspólniczką w sprawie, która mogła się rozwijać nadal bez jej udziału. ...Z kłótni tej jednak nie mogłem domyśleć się ani jednego słowa... Przytknąłem ucho do ściany, powstrzymywałem oddech, natężyłem uwagę, by usłyszeć choć jedno zdanie, z którego mógłbym dorozumieć się, o co im chodziło... Na razie jasno słyszałem tylko przyspieszone bicie serca w mych piersiach.

Nagle rozległ się jakby odgłos walki... upadek ciała na podłogę i straszny krzyk niewypowiedzianego cierpienia, dobywający się z duszonego gardła... Tym razem uderzyły mój słuch te przerażające, wyraźne słowa:

— Na pomoc!

Nad hałasem zapanował ostry głos Łucyi i powietrze rozdarł ten okrzyk, w którym zawdzięczała cała jej rozpacz, ostatnie jej wezwanie:

— Mordują!... Mordu...!

Krzyk uwiązł w gardle...

Zapanowało nagłe milczenie... Usłyszałem teraz, słuch bowiem stał się czułym jak mikrofon, jęczenie i rzężenie!... Nie łudziłem się już wcale co do przeraźliwego dramatu, jaki musiał się dokonać tam za ścianą między Joe Duncanem, człowiekiem bez żadnych skrupułów i tą dziewczyną bez znaczenia, Łucyą Weill!... Tu, o dwa kroki ode mnie, w tym opuszczonym i umyślnie wybranym domu mordowano kobietę, pozostającą bez obrony. Skoczyłem z zaciśniętemi kułakami do drzwi, które Bambu zamknął na dwa spusty, wstrząsnąłem niemi z całych sił, lecz napróżno... Zrozumiałem teraz ostrożność Bambu, podyktowaną mu przez jego pana! Jakieś pragnienie wołania wzbudziło się we mnie, chęć krzyknięcia z całej piersi:

— Mordują!... Mordują kobietę!

Jak mdlejący głos Łucyi Weill, również i mój krzyk nie znalazł żadnego echa poza ogrodzeniem parku. Gwiazdy na brylantowem niebie w dalszym ciągu drżały jako jedyni, niemi świadkowie tego dramatu!

Otworzyłem okno i mierzyłem wzrokiem wysokość piętra... Szybko powziąłem postanowienie... Zerwałem prześcieradła z łóżka... Przymocowałem je do framugi. ...Jednym śmiałym skokiem — przerażenie zdwoiło me siły i zręczność — spuściłem się aż do gzymsu dolnego pierwszego piętra... Stąd odbiłem się i skoczyłem na trawnik, który osłabił mój upadek... Okrążyłem szybko budynek i skierowałem się w stronę kuchni, gdzie świeciła się jeszcze lampa. Pod daszkiem drugi negr Dżim, który miał pilnować Łucyi, leżał na kamiennej ławce i drżał całem ciałem z twarzą powalaną krwią i błędnym wzrokiem...

— Dżim! — zawołałem... — Dżim! co się stało?

Dżim, drżąc z przerażenia, z oczami, nakrytemi powiekami, zdołał wyszeptać omdlewającym głosem:

— Ah! panie! panie! Bandyta!

I zaczął łkać.

Podbiegłem do drzwi kuchennych i silnie uderzyłem w nie piersią.

— Kto tam? — zapytał drugi negr.

Bambu poznał mnie i otworzył. Spokój jego był w dziwnej sprzeczności z przestrachem Dżima.

Pospieszyłem do środka. Zobaczyłem tam Joe Duncana.

Stał do mnie zwrócony plecami, z zawiniętemi po łokcie rękawami i mył pod wodociągiem ręce swe, czerwone od krwi.

Ach! przeklęty bandyta, jak rzekł Dżim. Obrócił się ku mnie i odezwał się zupełnie spokojnym głosem:

— Skąd idziesz, Jonatanie?

Twarz moja musiała być straszna w tej chwili. Wyciągnąłem rękę przed siebie i zawołałem drżącym z oburzenia głosem:



Jakże ja kocham cię drogi ojcze.

— Nędzniku! — zabiłeś Łucyę Weill!

Joe Duncan wobec mego wyraźnego oskarżenia pozostał niewzruszony. Wziął ręcznik i starannie zaczął wycierać ręce. Potem popatrzył na mnie z jakimś szczególnym wyrazem w oczach i odrzekł cynicznie:

— Kiedyż to się stało? Czy ja ci kiedy wyrzucałem, żeś zamordował swoją żonę?

I wzruszając wgardliwie ramionami wybuchł śmiechem:

— Litość we mnie wzbudzasz swoją niewczesną czułostkowością.

VIII.

Ach! Karta ta, którą teraz piszę, nie jest najboleśniejsza w tem prawdziwem opowiadaniu. A jednak zaczynając ją, doznaję uczucia jakiegoś wstecznego przerażenia, wrażenia bardzo nieprzyjemnego, coś podobnego do strachu. Jest to dziwne... nie znajduję jednak innego wyrażenia... tak, po upływie tych pięciu lat pamiętam jeszcze jakby fizycznie tę straszną noc... Przy opisywaniu tego, co już się stało, lękam się, bym nie odczuł znowu tamtych cierpień. Wahałem się... Kładę pióro... Ręka ma drży... Pewny jestem, że nie zdołam napisać ani litery. Dotknąłem się ręką czoła i zobaczyłem, że jest całe spocone!... Jaką bezmyślną rzeczą jest strach!... I strach przed czem?... Przed opowiedzeniem w całej szczerości zbrodniczego zamachu Joe Duncana... Dosyć już wahań! Będę możliwie najzwięźlejszy... Nie mam zamiaru rozczulenia czytelnika swym losem, ani nie chcę wywoływać tanich efektów przerażenia, notując skrupulatnie okrutne cierpienia, jakie znosiłem!

Wiem, że pewien reporter irlandski posunął swą dokładność w opisywaniu faktów tak daleko, iż dał się powiesić, by potem przedstawić czytelnikom swego pisma fazę po fazie wszystkie wrażenia, jakich doznawał przy tem niebezpiecznem doświadczeniu!... Mam powody do powątpiewania o prawdziwości jego opowiadania. Tak względem jego cierpienia dobrowolnego, jak i mego, które jednak dobrowolnem nie były, należy wyznać, iż takie cierpienienia nie dają się wyrazić:

Mój wypadek odbył się w następujący sposób.

Wobec cynicznej odpowiedzi Joe Duncana stanąłem jak osłupiały... Przejęty wstrętem z powodu tak strasznego występku, gotów byłem, nie zważając na własne niebezpieczeństwo, rzucić się na niego, skoczyć mu do gardła, gdy Bambu, negr o atletycznej postaci, stojący za mną, ścisnął mnie na znak swego pana w swych atletycznych ramionach, sparaliżował mój ruch i w mgnieniu oka powalił na cementową podłogę kuchni. Nie zdążyłem nawet zawołać na pomoc!... Byłoby to zresztą zbyteczne! Któż w tym przeklętym pałacu, oddalonym od innych domów, mógłby mi przyjść z pomocą?... Ani Łucya Weill, którą dopiero co zamordowano ani Dżim, który pod daszkiem trząsł się ze strachu!...

Joe Duncan jednym ruchem ręki zakneblował mi usta i czułem, jak me wargi są hermetycznie przyciśnięte do zębów pod wązką opaską z cienkiego jedwabiu, który mi gniótł obie szczęki... Jednocześnie podał negrowi kłębek sznurów i zapytał:

— Nie zapomniałeś sztucznej kombinacyi?

W kilka minut zostałem związany, skrępowany od stóp do głowy; nie zdolny byłem do najmniejszego ruchu. Pojąłem teraz, co Joe nazywał „sztuczną kombinacyą“. „Był to specyalny sposób wiązania, polegający na tem, iż gdy chciałem poruszyć nogami, sznurek wpijał się w ręce i wrzynał mi się w nogi przy najmniejszym ruchu ramion! Z rękami przywiązanemi wzdłuż bioder i z skrępowanemi stopami, byłem podobny do bezwładnej masy, z którą mogli uczynić wszystko, co tylko zechcieli...

W oczach moich musiało się malować jakieś niewypowiedziane przerażenie, gdyż Joe nachylił się nademną i odezwał się tonem przyjacielskiego współczucia.

— Uspokójmy się! czegóż żądają od ciebie?... Jednej chwili męstwa! Przecież możesz się na to zdobyć!... Jest to w twoim interesie, Jonatanie!

Nie mogłem jeszcze zrozumieć, co znaczą te słowa.

Bambu wziął mnie na ramiona...

Joe trzymał w rękach dwa małe pakunki, jakie przywiózł z sobą tego wieczoru z Paryża i niósł je ostrożnie...

— Operować będziemy w pokoju przyjaciela, wskazał Joe miejsce, do którego miał mnie zanieść Bambu.

Zimny pot zaczął spływać mi po ciele, zamknąłem oczy z obawy pomieszanej zarazem z pragnieniem zemdlenia. Co będą robili ze mną? Jaki zamiar powzięli ci złoczyńcy.

Bambu złożył mnie na łóżku.

— Wyciągnij łóżko na środek pokoju, rozkazał Joe i idź poszukaj jakiego garnuszka w jadalnym pokoju. Należy postępować ostrożnie, zręcznie, by nie przyczyniać niepotrzebnego bólu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Chińscy dygnitarze w Wiedniu.

Za przykładem Japonii wkroczyły i Chiny tak na drogę reform w dziedzinie swej administracyi jak i na drogę reorganizacyi swej siły zbrojnej. Japończycy, którzy w wojnie z Rosyą zdobyli markę pierwszorzędnej potęgi militarnej, stali się nauczycielami i instruktorami wojsk chińskich, a dyplomaci japońscy umieli zaangażować cesarstwo niebieskie w polityce, której wyłączne tajniki spoczywają w Tokio.

Jako jedno z najpilniejszych zadań odradzających się Chin, uznali Japończycy zbudowanie floty chińskiej, która wspólnie z japońską byłaby zdolną stawić czoło flotom wojennym wielkich europejskich potęg morskich. Pierwsze kroki do urzeczywistnienia tej myśli zostały zrobione i do Europy przybyła specyalna misya chińskiej marynarki celem studyowania urządzeń w portach i dokach europejskich.

Na czele tej misyi stoi książę Shung Po zwiedzeniu portów adryatyckich przybyła misya do Wiednia, aby złożyć hołd cesarzowi.

Członkowie tej misyi zwiedzali przy tej sposobności stolicę naddunajską.

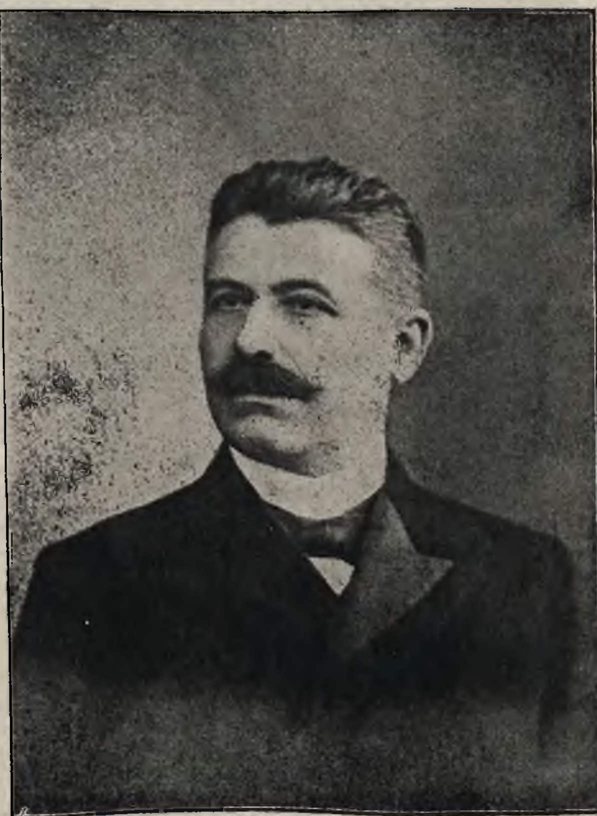


Chińscy dygnitarze w Wiedniu: Książe Shung (X) wraz ze świtą w pawilonie papug w Schönbrunnie.

Illustracya nasza przedstawia księcia Shunga w towarzystwie jego świty przy zwiedzaniu pawilonu papug w Schönbrunnie.

Wzorowa szkoła.

Co mogą dobre chęci i dobra wola na polu samopomocy narodowej i szkolnictwa, świadczy najlepiej historya polskiej szkoły ludowej w Wolance-Tustanowicach. Miasteczko to, mimo przeważającej liczby ludności polskiej, nie posiadało dotychczas szkoły polskiej. Do istniejącej od dawna w Wolance 2 klasowej szkoły ruskiej nie chcieli rodzice posyłać swych dzieci, które z konieczności musiały chodzić do szkół polskich aż do Borysławia lub Drohobycza. Marzenia wszystkich obracały się koło myśli wybu-



Zgon szefa kraj. dyrekcyi skarbu: Ś. p. Stanisław Prokopowicz.



Wzorowa szkoła: Rozdawanie herbaty dzieciom szkolnym w Wolance-Tustanowicach w obecności burmistrza Spitzmanna (1) i kierownika szkoły Bablicha (2).



Fot. J. Jaworski, Zakopane.
Doroczny kurs narciarzy w Zakopanem: Por. Bobkowski na nartach w zaprzęgiem.

dowania przez gminę szkoły polskiej, ale przez długie lata życzenie to pozostawało w sferze marzeń.

Dopiero gdy przed 3 laty wybrano burmistrzem Wolanki Jakóba Spitzmanna, sprawa wybudowania polskiej szkoły zaczęła przybierać kształty realne.

Nowy burmistrz wziął się energicznie do dzieła i w ubiegłym roku stanął gmach 4 klasowej szkoły kosztem 80.000 K, który to wydatek gmina bez żadnej konkurencyi, staraniem burmistrza sama pokryła. Zaraz w pierwszym roku zapisało się do tej szkoły około 700 dzieci, w tym zaś roku liczba tychże wzrosła do 800, tak że budynek okazał się za małym i okazała się potrzeba budowy drugiego budynku. Zrozumiał tę potrzebę burmistrz, więc polecił wygotować plany.

Jeszcze w innym kierunku poszła troska p. Spitzmanna, piastującego zaszczytnie nie tylko godność burmistrza ale i przewodniczącego miejscowej Rady szkolnej. Dzięki jego zabiegom założono przy szkole herbaciarnię, która wydała przeszło 20.000 garnuszków herbaty z mlekiem i bułką, w tym zaś roku wydaje dziennie około 300 garnuszków dla najbiedniejszej dziatwy.

Gopodynią, która zawiaduje i rozdziela herbatę, jest żona kierownika, pani Zofia Bablichowa; za swą pracę zyskała ona sobie uznanie całej gminy. Grono nauczycielskie chętnie pomaga jej w tej pracy przed nauką.

Dzięki p. Spitzmannowi gmina tak w zeszłym roku jak i w tym uchwaliła 5.000 K na odzież dla biednej dziatwy, która też na święta otrzymała ciepłe ubrania i płaszcze.



Fot. Jaworski, Zakopane.
Doroczny kurs narciarzy w Zakopanem: Lekcya jazdy na nartach na Kalatówkach.

Ofiarność gminy Wolanka Tustanowice na szkołę — jak widzimy — może zaiste być przykładem dla wielu gmin w naszym kraju.

Zgon szefa krajowej dyrekcyi skarbu.

Po niespełna trzechletniej pracy na trudnem i o[dpo]wiedzialnem stanowisku wiceprezydenta galic[y]jskiej krajowej dyrekcyi skarbu, zmarł nagle w ub[ie]głym tygodniu we Lwowie ś. p. Stanisław Prok[o]powicz w sile wieku, bo przeżywszy zaledwie 52 l[at], w pełni sił i zdolności do długiej jeszcze działalnoś[ci].

Śp. Stanisław Prokopowicz, Lwowianin z rod[u], ujrzał światło dzienne 1857 r. i po ukończeniu st[u]dyów uniwersyteckich poświęcił się służbie w ska[r]bowości. Zdolny i pracowity, awansował szybk[o] i osiągnął po dwudziestu paru latach służby godno[ść] radcy dworu, a wnet potem stanowisko szefa dyr[e]kcyi skarbu, po powołaniu dr. Korytowskiego n[a] stanowisko ministra.

S. p. Prokopowicza ceniono zarówno w sfera[ch] urzędowych jak w kołach towarzyskich, był to b[o]wiem człowiek wielkich zalet umysłu i serca. Umi[ał] znakomicie pogodzić obowiązki urzędnika z obowią[z]kami obywatela i syna kraju, za co też ogół b[ył] mu szczerze wdzięczny.

Poza działalnością czysto urzędową, pracow[ał] śp. Prokopowicz i na polu naukowem, jako docen[t] ustawodawstwa skarbowego na politechnice i czło[n]nek komisyi egzaminacyjnej nauk politycznych n[a] uniwersytecie.

Przedwczesny a niespodziewany zgon wicepre[zy]zydenta Prokopowicza wywołał bardzo duże współczucie i żal.

Doroczny kurs narciarzy w Zakopanem.

Zima tegoroczna nie jest łaskawą dla narciarzy. Boże Narodzenie minęło bez śniegu, Nowy Rok również nie ubielił puchem śnieżnym pól i gór, zbliża się połowa stycznia, a o śniegu nawet mowy niema.

Brak śniegu uniemożliwił nawet tym, którzy do Zakopanego zjechali na doroczny kurs narciarzy, odbycie tegoż w ciągu świąt Bożego Narodzenia. Wiele klubów sportowych, które na czas feryi świątecznych przeniosły się do Zakopanego, nie znalazło i tam odpowiednich warunków klimatycznych. Nawet wysokie Tatry spoglądały smutnie ku dolinom, nagie i bezśnieżne.

Zwolennicy sportów zimowych doczekali się dopiero z Nowym Rokiem po kilkudniowej kapryśnej słocie większego opadu śnieżnego. Na dwa dni przed Nowym Rokiem nastąpiło nagłe obniżenie się temperatury, mrozom towarzyszył dość obfity opad śniegu, który pola i góry pokrył warstwą grubości 25 cm. W górach grubość pokładu śnieżnego doszła do pół metra.

Narciarze zostali nagrodzeni za swą cierpliwość, a pierwszy śnieg był zwiastunem rozpoczęcia się kursu jazdy na nartach pod kierownictwem nadporucznika Bobkowskiego i p. Zaruskiego. W kursie wzięło udział 25 narciarzy, między tymi 3 panie. Większość tegorocznych uczestników kursu pochodziła z Krakowa, gdzie w ostatnich 2 latach ten „królewski sport" zdobył sobie licznych i zamiłowanych zwolenników. Na Kalatówkach odbywały się ćwiczenia zbiorowe, na zakończenie zaś odbyło się kilka interesujących wycieczek, między innymi do



Fot. J. Jaworski, Zakopane.
Doroczny kurs narciarzy w Zakopanem: Punkt zbiorny zjazdu międzynarodowego w Kuźnicach.

Czarnego Stawu ze zjadem powrotnym na Jaworzynkę, wąskim i niezwykle spadzistym „Żlebem wściekłych węzów“. W czasie kursu urządzono także wycieczkę na Giewont z wejściem na grań Giewontu ponad Wrotkami, którą zakończył piękny zjazd na Kalatówkach. Po zakończeniu kursu poszczególne grupy urządziły szereg trudniejszych wycieczek w góry. Jedna grupa urządziła dłuższą wycieczkę od Hali Gąsienicowej na Liliowe, stąd granią przez Beskid Kasprowy, Pośredni Goryczkowy na Świńską przełęcz ze zjazdem na Halę Goryczkową.

Interesującą wycieczkę urządzili pp. Zdyb, Bednarski i Loria na Zawrat. Jedna z naszych illustracyi przedstawia tych zuchwałych narciarzy na tej zawrotnej przełęczy.

W czasie kursu nie zapomniano i o jeździe na nartach, ciągnionych przez konia, który to sposób jazdy, za granicą tak rozpowszechniony, demonstrował nadporucznik Bobkowski, niestrudzony instruktor kursu.



Fot. J. Jaworski, Zakopane.
Doroczny kurs narciarzy w Zakopanem: Odpoczynek narciarzy pod żlebem „Wrótki“ na Kalatówce.

Nowa ofiara awiatyki.

Pod znakiem nad wyraz tragicznej katastrofy rozpoczął się nowy rok sportu awiatycznego. Zginął mianowicie jeden z pionierów tego sportu, dzielny Leon Delagrange, runąwszy z wysokości 20 m. wraz ze swą maszyną na ziemię.

Wypadek zdarzył się w ubiegłą środę w Bordeaux, gdzie Delagrange dokonywał wzlotów na aeroplanie jednopłaszczyznowym systemu Bleriota, zaopatrzonym w nowy motor o sile 50 koni. Podczas jednego ze wzlotów, gdy dzielny awiator przeleciał około 120 m., zerwał się nagle silny wicher i pchnął maszynę w tył. W tej chwili złamało się, źle widocznie zmontowane, lewe skrzydło i aeroplan runął z błyskawiczną szybkością na ziemię, druzgocąc się na drobne kawałki. Z pod gruzów maszyny dobyto tylko zwłoki nieszczęsnego pilota, śmierć bowiem jego nastąpiła natychmiast.

Wiadomość o tragicznej śmierci Delagrange'a wywarła przygnębiające wrażenie w całym świecie sportowym, młody ten bowiem 36-letni awiator cieszył się ogólną sympatyą, a uchodził za jednego z najśmielszych pilotów. Ta śmiałość właśnie i lekceważenie niebezpieczeństwa stały się przyczyną jego śmierci.



Nowa ofiara awiatyki: Leon Delagrange ze swym aeroplanem.

Pożar zamku królewskiego w Atenach.

Wieczór wigilijny w Atenach według obrządku grecko katolickiego, zapisał się w pamięci mieszkańców wielką katastrofą. Oto w dniu tym po nabożeństwie w kaplicy zamkowej, poczęły z południowego skrzydła zamku wydobywać się snopy ognia, które wkrótce skutkiem zamieszania i niewystarczającej akcyi ratunkowej objęły cały budynek środkowy.

Tłumy publiczności pospieszyły na miejsce wypadku. Straż ateńska była wprost bezradną; ani przyrządy ogniowe nie były odpowiednie, ani wody nie było poddostatkiem. Gdyby nie pomoc marynarzy z okrętów obcych mocarstw, prawdopodobnie cały zamek byłby padł ofiarą płomieni.

Król w dniu krytycznym był nieobecny. Zawiadomiony o pożarze, przybył monarcha koło północy





Fot. J. Jaworski, Zakopane.
Doroczny kurs narciarzy w Zakopanem: Pp. Zdyb, Bednarski i Loria na Zawracie. (2158) m. J. zdj. „oporna“ zboczem o pochyłości 70%.



Pożar zamku królewskiego w Atenach: Widok na zamek przed pożarem, od strony placu Konstytucyi.

do stolicy wówczas, kiedy akcya ratunkowa była już w pełnym toku. Mimo nadzwyczajnych poświęceń nie zdołano wyratować pokojów królewskich i pokojów przyjęć. Jedynie ocalały drogocenne trofea, pamiątki walki o niepodległość i ważne papiery państwowe, które wnet z całem archiwum zdeponowano w ministerstwie spraw zagranicznych.

Trzy skrzydła zamku zgorzały doszczętnie. Stratę obliczają na $1^1/_2$ miliona, gdyż zamek nie był ubezpieczony.

Pałac królewski zbudowany został przez Ottona I w latach od 1834 do 1838.

Nowy dyrektor Burgteatru.

Przesilenie, jakie wybuchło w zarządzie nadwornego teatru wiedeńskiego, zostało już załatwione ku ogólnemu zadowoleniu sfer, zajmujących się losem teatru. Miejsce dotychczasowego dyrektora dra Schleuthera zajął dr. Alfred baron Berger, założyciel i kierownik „Deutsches Schauspielhaus“ w Hamburgu.

Baron Berger, rodowity wiedeńczyk i chlubnie znany dramaturg, poeta i krytyk, po ukończeniu studyów filozoficznych objął w r. 1887 stanowisko sekretarza artystycznego wiedeńskiego Burgteatru. Z czasem przeniósł się do Hamburga, pracując dalej na umiłowanem polu, aby po dziesięciu latach nieobecności powrócić do swego rodzinnego miasta, tym razem, jako dyrektor nadwornego teatru wiedeńskiego.



Nowy dyrektor Burgteatru: Dr. Alfred bar. Berger, nowy kierownik nadwornej sceny wiedeńskiej.



Powódź w Portugalii: Ulica w mieście Porto podczas rzeki wylewu Douro.

Wobec jednego z redaktorów rozwinął dr. Berger program swej przyszłej działalności. Dążeniem jego będzie, aby na stołecznej scenie pojawiały się głównie sztuki austryacko-niemieckich autorów, co do stylu zaś przedstawień, dołoży starań, aby uszanować prawa autora i aktora wobec żywiołów sztuki scenicznej, mających tylko wartość dekoracyjną. Teatr *Burg* został założony, jako miejsce kształcenia ogółu i tę cechę musi zachować, jeśli nie ma upaść.

Prasa wiedeńska wita życzliwie nowego kierownika nadwornej sceny, zaznacza jednak z przekąsem, że i poprzednicy, Burkhard i Schleuther, obejmując urzędowanie, stawiali świetne horoskopy na przyszłość, niestety jednak nie sprostali swemu zadaniu.

Jest to zresztą zwyczajny los wszystkich dyrektorów i kierowników teatrów. Łatwo zadowolić publiczność, ale bardzo trudno krytykę, która zwłaszcza u nas, w Polsce, nie liczy się z nadzwyczajnie trudnymi warunkami, wśród jakich kierownictwa teatrów pracować muszą.

Środki teatrów zagranicznych, a zwłaszcza nadwornego wiedeńskiego, są bez porównania potężniejsze, to też może zapowiedzi nowego jego kierownika uda się urzeczywistnić.



Fot. J. Jaworski, Zakopane.

„Betlejem polskie“ w Zakopanem: Scena z przedstawienia jasełek Rydla przez górali zakopiańskich.

A. K. GREEN.

KTO MORDERCĄ?

3

— Wszystkie śpimy na samej górze.
— Wszystkie w jednym pokoju?
— Tak — odrzekła znowu wahająco.
— Wczoraj wieczorem Dżen poszła razem z panią na górę?
— Tak.
— O której godzinie?
— Wszyscy poszli spać o dziesiątej; słyszałam, jak wybiła godzina.
— Nie zauważyła pani u niej czegoś speeyalnego?
— Tyle tylko, iż bolały ją zęby.
— Aha, bolały ją zęby... Proszę opowiedzieć wszystko, co pani wie.
— Ależ przecie ona jest niewinna — zawołała kucharka, zalewając się łzami — niech pan mi wierzy, że Dżen jest porządna dziewczyna, a jaka uczciwa — to aż dziwne. Mogę przysiądz, że jej na myśl nawet nie przyszło podchodzić do drzwi pokoju, w którym zabito naszego pana; zeszła na dół tylko dlatego, by poprosić panny Eleonory o kilka kropli przeciw bólowi zębów.
— Dobrze, proszę się uspokoić — rzekł Koroner — nie mam zamiaru oskarżać Dżen. Zapytałem tylko, co robiła, gdy poszła razem z panią na górę. Powiedziała pani, że zeszła potem na dół. Kiedy to było?
— Ja naprawdę nie mogę nic o tem powiedziedzieć, Molly tylko mówiła...
— Co Molly mówiła, to do nas się nie odnosi. Pani nie widziała, kiedy ona zeszła na dół?
— Nie.
— I kiedy wróciła?
— Także nie.
— I dzisiaj rano nie widziała jej pani?
— Jakże mogłam ją widzieć, kiedy jej niema?
— Zauważyła jednak pani wczoraj wieczorem, że bolały ją zęby?
— Tak.
— Dobrze! Teraz niech pani opowie nam, jak się pani dowiedziała o śmierci pana Lavenforta?

Odpowiedzi jej na wszystkie pytania były tak długie i tak mało przynosiły nowego, iż Koroner zamierzał skończyć już jej badanie, gdy nagle jeden z przysięgłych wspomniał, jak ona mówiła, że widziała miss Eleonorę wychodzącą z biblioteki w kilka chwil po wyniesieniu stamtąd zwłok jej stryja. Zapytał więc kucharki, czy miss Eleonora miała wówczas co w ręku, czy nie.

— Nie pamiętam dobrze — odpowiedziała — zdaje się jednak, iż trzymała w ręku arkusz papieru; tak, tak, teraz przypominam sobie to dobrze: schowała go do kieszeni.

Następnym świadkiem była pokojówka Molly. Molly O' Flenagen była to rumiana, o czarnych włosach osiemnastoletnia młoda dziewczyna, która w zwykłych warunkach gotowa była odpowiadać na wszelkie pytania, teraz zaś, stając przed Koronerem, miała minę godną politowania. Rumiane jej policzki pobladły, przy pierwszych zaś zwróconych do niej słowach w zakłopotaniu opuściła głowę na piersi. O ile znała Dżen, była to dość prosta irlandzka dziewczyna, która przy pannach Lavenfort spełniała obowiązki pokojowej i szwaczki. Wstąpiła do służby przed Molly i chociaż była wogóle bardzo milcząca, a zwłaszcza względem swej przeszłości, potrafiła jednak zyskać sobie sympatyę w całym domu. Była melancholijna i zawsze zadumana, jak pani, oznajmiła Molly.

Ponieważ dziewczęta w jej położeniu nie odznaczają się naogół podobnem usposobieniem, Koroner więc starał się otrzymać więcej o tem szczegółów od Molly. Pokojówka jednak zapewniała, że nic więcej nie wie, chyba to, że Dżen wstawała często w nocy i siadała przy otwartem oknie. Co zaś do ostatniej nocy, to może powiedzieć tyle tylko, iż Dżen, która od dwóch już dni chodziła z zapuchniętą twarzą, wstała z łóżka z powodu strasznego bólu, ubrała się, zapaliła świecę i oznajmiła, iż pójdzie do miss Eleonory po krople.

— Dlaczego właśnie do miss Eleonory? — zapytał jeden z przysięgłych.

— Ponieważ ona zawsze dawała wszystkim w domu lekarstwa.

Na resztę pytań Molly odpowiedziała, że nic więcej nie wie; Dżen nie wróciła już do sypialni, a rano nigdzie jej nie znaleziono.

— Czy świeca, którą wzięła z sobą, była w lichtarzu?
— Nie.
— Lecz poco ona brała świecę? Czyż u was na korytarzu nie świeci się gaz?
— Świeci się, ale gasimy go, gdy idziemy spać, Dżen zaś boi się ciemności.
— W takim razie świeca, którą wzięła z sobą, musi znajdować się w domu; czyż nikt jej nie widział?
— Nie wiem tego.
— Czy to nie ta właśnie świeca? — zapytał nagle jakiś głos za memi plecami.

Był to Grys, trzymający w ręku do połowy wypaloną świecę.

— Tak, ta, lecz — Boże mój — skąd pan wziął ten ogarek?
— Znalazłem go na trawie, na drodze do kuchni na ulicę — odpowiedział spokojnie.

Fakt ten zaintrygował wszystkich. Wreszcie natrafiono choć na jeden ślad, który może doprowadzić do zrozumienia tej tajemnicy. Kuchenne schody zajęły wszystkich. Widocznem było, że Dżen tędy właśnie wyszła na ulicę. Gdy jednak znowu pytano Tomasza, utrzymywał on, że nietylko te drzwi, ale i wszystkie okna były zamknięte na parterze o szóstej godzinie, gdy on wstał. Musiał więc ktoś zamykać drzwi po wyjściu Dżen.

Lecz kto to uczynił? — to stało się obecnie głównem pytaniem.

V.

Dowody eksperta.

W chwili tej rozległ się głos dzwonka w przedpokoju i oczy wszystkich zwróciły się bezwiednie na drzwi, w których ukazał się ajent, posłany przedtem przez Koronera, a za nim jakiś młody człowiek, o bardzo miłej i poważnej twarzy, jak się okazało następnie, ekspert z magazynu broni pod firmą Bon i Ska. Nie zwracając uwagi na utkwione w siebie ze wszystkich stron wejrzenia, podszedł on wprost do Koronera i kłaniając się z godnością, rzekł:

— Pan posyłał po mnie?
— Tak i chcę prosić pana o zbadanie kuli, którą panu zaraz podam. Pan zapewne zna doskonale wszystko, co odnosi się do pańskiego fachu.

Młody człowiek zamiast odpowiedzi ukłonił się tylko, wziął kulę do ręki, obejrzał ją i czekał na zapytania.

— Może nam pan powiedzieć, jakiego systemu jest ten rewolwer, z którego wystrzelono tę kulę? — zwrócił się do niego Koroner.
— Sprzedajemy takie zawsze z rewolwerami niewielkiego kalibru fabryki Schmidt i Wesson.
— Jest to kula nr. 30 — odpowiedział młody człowiek, podając kulę.
— Mały rewolwer — zawołał kamerdyner — ależ nasz pan miał u siebie mały rewolwer, często go widywałem i my wszyscy znamy go dobrze.

Znowu wszyscy poruszyli się, a zwłaszcza służba.

— Tak, tak, to prawda, sama raz widziałam, jak nasz pan czyścił go — odezwała się z przekonaniem kucharka.
— Chował go w stoliku? — zapytał Koroner.
— Tak, w stoliku nocnym, stojącym przy łóżku.

W tej chwili posłano ajenta, by obejrzał stolik w sypialni nieboszczyka. Wrócił on w kilka chwil potem, niosąc maleńki rewolwer, który wręczył zaraz Koronerowi. Wszyscy podnieśli się ze swych miejsc, by popatrzeć na rewolwer, lecz Koroner podał go ekspertowi i spytał, czy rzeczywiście jest on wspomnianej firmy.

— Naturalnie, jest to Schmidt i Wesson — rzekł bez najmniejszego wahania — sam pan może o tem przekonać się.
— Gdzie pan znalazł rewolwer? — zapytał Koroner agenta.
— W górnej szufladzie nocnego stolika, stojącego przy łóżku pana Lavenforta; rewolwer znajdował się w aksamitnym futerale razem z paczką naboi, z których kilka przyniosłem tutaj.
— Szuflada była zamknięta?
— Tak, lecz klucz był w zamku.

Wszyscy słuchali z natężoną uwagą. Ktoś zapytał: — Rewolwer nabity?

Koroner zmarszczył brwi i rzekł z godnością:

— Sam właśnie chciałem zadać to pytanie; przedtem proszę jednak wszystkich uspokoić się!

W sali nastało zupełne milczenie, wszyscy pałali ciekawością, by jak najprędzej dowiedzieć się szczegółów.

— I co pan powie? — zapytał Koroner młodego człowieka.

Ekspert wyjął magazyn rewolweru i rzekł: — Rewolwer siedmiostrzałowy, nabity wszystkimi nabojami.

Szmer niezadowolenia dał się słyszeć w sali.

— Lecz — mówił dalej młody człowiek, oglądając rewolwer — nie wszystkie naboje włożono jednocześnie — jeden włożono później.
— Z czego pan o tem wnosi?
— Z czego? — powtórzył ekspert — niech pan przyjrzy się uważnie; naprzód proszę zajrzeć do lufy, — czysta jest i lśni się i nie znajdzie pan w niej najmniejszego śladu, iż niedawno strzelano z rewolweru, ponieważ potem wyczyszczono ją; jeżeli jednak obejrzy pan szczegółowo magazyn, to co pan tam zobaczy?
— W jednym otworze widać ciemną, brudną plamę.

Plama ta właśnie dowodzi, że z rewolweru strzelano: kula zawsze pozostawia po sobie podobny ślad. Ten, kto strzelił z rewolweru, wiedział o tem; wyczyścił lufę, lecz zapomniał zrobić to i z magazynem.

W sali zaczęły się głośne rozmowy, słychać było okrzyki zdziwienia i lęku. Gdy wszyscy uspokoili się, Koroner zaczął pytać policyanta, jak daleko stoi stolik od biurka w bibliotece.

— Aby przejść od nocnego stolika do biurka, trzeba naprzód przejść całą sypialnię od jednego rogu do drugiego, potem minąć korytarz, oddzielający sypialnię od biblioteki i...
— Zaraz! Jak daleko i w jakiem miejscu stoi ten stolik w stosunku do drzwi, wiodących z sypialni na korytarz?
— Jeżeli przez te drzwi wejdzie się do sypialni i przejdzie się do stolika, znajdującego się u wezgłowia łóżka, to można wziąć rewolwer i powrócić do przedpokoju, nie zwracając na to uwagi osoby, siedzącej w bibliotece.
— Boże mój! — zawołała przerażona kucharka. — Dżen nigdy nie mogłaby się odważyć na coś podobnego.

Grys podszedł do niej, oparł rękę na jej plecach i kazał jej siąść.

— Przepraszam bardzo — rzekła znowu kucharka, zwracając się do obecnych — lecz Dżen na prawdę nie mogła zrobić tego, jestem o tem przekonana.

Gdy ekspert odszedł, nastąpiła chwilowa przerwa, z której wszyscy skorzystali, by trochę wypocząć, poczem przystąpiono znowu do badania Hervela.

— Panie Hervel — zaczął Koroner — proszę powiedzieć nam, czy pan wiedział co o posiadaniu rewolweru przez nieboszczyka?
— Ma się rozumieć.
— A więc wszyscy w domu wiedzieli o nim?
— Zdaje się, że tak.
— Jak to pan wytłómaczy? Czy nieboszczyk miał zazwyczaj rewolwer na wierzchu, tak że wszyscy mogli go widzieć?
— Co do tego nie mogę dać panu żadnych wyjaśnień, co najwyżej mogę powiedzieć tylko o tem, w jaki sposób dowiedziałem się sam o nim.
— Proszę bardzo.
— Pewnego razu wspomnieliśmy w rozmowie o broni. Cośkolwiek znam się na tem i zawsze noszę w kieszeni mały rewolwer; gdym go pokazał panu Lavenfort, on wstał, wyjął swój z pudełka i podał mi.
— Kiedy to się stało?
— Kilka miesięcy temu.
— Wypływa z tego, że rewolwer miał już dawno?
— Tak.
— Czy tylko ten jeden raz widział pan jego rewolwer?
— Nie — odrzekł sekretarz, wahając się — widziałem go jeszcze raz.
— Kiedy to było?
— Trzy tygodnie temu.
— W jakich okolicznościach?

Sekretarz opuścił głowę, a na twarzy jego odmalował się jakiś dziwny wyraz; zacisnął silnie ręce i patrzył prosto w oczy Koronerowi, jakby go o coś błagał.

— Czy panowie — odezwał się po krótkiej chwili — nie zwolnią mnie z odpowiedzi na to pytanie?
— Nie, to niemożliwe — oparł się Koroner.

Hervel jeszcze bardziej pobladł.

— Będę musiał wymienić tu imię pewnej damy — rzekł, jąkając się.
— Czekamy na to.

Sekretarz wyprostował się teraz i głośno wymówił:

— Mówię tu o miss Eleonorze Lavenfort.

Przy słowach tych wszyscy mimowoli poruszyli się; Grys tylko najzupełniej spokojnie bawił się własnymi palcami, jak gdyby ta sprawa wcale go nie obchodziła.

— Zdaję sobie sprawę z tego, że wspominanie tutaj w takich okolicznościach imienia tej panny, mogłoby wydać się brakiem poszanowania z mej strony dla niej — mówił szybko sekretarz — ponieważ jednak pan nalegasz na to, muszę więc powiedzieć wszystko, co wiem. Chodzi o to, że przed trzema tygodniami zaszedłem w niezwykłą porę do biblioteki. Gdy zbliżyłem się do kominka, by wziąć z niego scyzoryk, jaki tam poprzednio zostawiłem, usłyszałem nagle szelest w sąsiednim pokoju. Ponieważ wiedziałem, że pana Lavenfort nie ma w domu i sądziłem, że i obie panny z nim pojechały, postanowiłem zajrzeć do pokoju, by zobaczyć, kto tam jest. Zdziwiłem się bardzo, gdy niespodzianie ujrzałem przed sobą miss Eleonorę, która stała przy nocnym stoliku z tym rewolwerem w ręku. Obawiając się wyrzutu natręctwa, chciałem się cofnąć, lecz miss Eleonora obróciła się, a zobaczywszy mnie, zawołała po imieniu. Gdym podszedł do niej, poprosiła mnie, bym jej wytłómaczył maszynerję rewolweru. Dla spełnienia jej prośby, musiałem rewolwer wziąć do ręki i właśnie to był drugi i ostatni raz, kiedy trzymałem w swych rękach rewolwer pana Lavenforta.

Powiedziawszy to, świadek opuścił znowu głowę na piersi i z widocznem wzruszeniem oczekiwał dalszych pytań.

— Prosiła pana o wytłómaczenie maszyneryi rewolweru? Co pan chce przez to powiedzieć?

— Pytała się, jak należy go nabijać, celować i strzelać z niego.

Jak błyskawica zjawiła się u wszystkich jedna myśl — wszyscy przysięgli spojrzeli po sobie i nawet Koroner nie mógł ukryć wrażenia, jakie wywarła na nim ta odpowiedź; spojrzał też z litością na sekretarza, który zdawało się, był zupełnie przybity tem, co powiedział.

— Panie Hervel — rzekł — czy nic nie ma pan do dodania?

Sekretarz smutnie pokiwał przecząco głową.

— Grys — szepnąłem, dotykając się jego ręki — jeżeli pan może, niech pan mnie przekona, że...

Nie dał mi jednak dokończyć.

— Koroner pośle zaraz po obie panny, jeżeli pan chce przyjść im z pomocą i okazać się dla nich pożytecznym w tak ciężkiej chwili, niech pan ma się na pogotowiu.

Słowa te przywróciły mi odrazu zimną krew. O czem ja rzeczywiście myślałem do tej pory? Zapomniałem o smutnej rzeczywistości i całym obrazie śledztwa, a widziałem przed sobą tylko dwie nieszczęśliwe młode panny, pochylone nad trupem człowieka, który zastępował im ojca. Gdy Koroner oznajmił, że teraz zacznie się badanie obu kuzynek nieboszczyka, śmiało wystąpiłem naprzód i rzekłem, że jako najbliższy przyjaciel rodziny—niech mi Bóg przebaczy to niewinne kłamstwo — proszę o pozwolenie udania się po obie pauny, które przyprowadzę tutaj.

Oczy wszystkich skierowały się na mnie i doznałem wtedy wrażenia człowieka, który zwrócił na siebie uwagę licznego towarzystwa. Prośba moja została przyjęta i w chwilę potem byłem już na schodach, wiodących na górne piętro; w uszach moich dźwięczały te słowa Grysa: „Drugie piętro, pierwsze drzwi przy schodach; obie panny czekają już na pana“.

VI.

Dziwna rozmowa.

Poszedłem na górę i mimowoli wzdrygnąłem się, gdym przechodził koło ściany bibliotecznej; zdawało mi się, że cała jest pokryta jakimiś tajemniczymi znakami. Gdy wstępowałem na wyższe piętro, nie wiem dlaczego, przypomniały mi się słowa, powiedziane kiedyś przez mą matkę; „Pamiętaj synu mój, iż kobieta, z której imieniem związana jest jakakolwiek tajemnica, może być interesnjąca jako przedmiot badań, nigdy jednak z niej nie będzie dobra towarzyszka życia“. Bezwarunkowo, była to bardzo roztropna przestroga, nie dawała się jednak zastosować do obecnego wypadku, gdyż nie zamierzałem wcale zająć się jedną z tych panien... Mimo wszelkich starań, by zapomnieć o słowach matki, prześladowały mnie ciągle, dopóki nie doszedłem do drzwi, o których mówił mi Grys.

Zatrzymałem się na chwilę przy nich, by przygotować się do tego, co mnie oczekiwało. Zaledwie zdążyłem podnieść rękę, by nacisnąć klamkę, gdy do uszu moich doleciało zdanie, którego znaczenie wydało mi się złowieszczem...

— „Ja nie twierdzę, żeś ty to zrobiła własnemi rękami, lecz twe serce, twoja głowa, twa wola przyjmowały bez wątpienia w tem wszystkiem udział i to zmuszona ci jestem powiedzieć!“

Cofnąłem się jak rażony gromem. Przedemną otwierała się jakaś przepaść przerażenia i ohydy. Jeszcze nie zdecydowałem się, jak mam postąpić, gdy naraz poczułem, że ktoś dotknął się mej ręki; gdym się obrócił, ujrzałem koło siebie Grysa. Stał



W niebieskim fotelu, obitym atłasem, siedziała cudna kobieca postać.

z palcem położonym na ustach; na twarzy jego widać było wyraz głębokiego współczucia.

— Cicho — szepnął — widzę, że pan zaczyna rozumieć, na jakie towarzystwo pan natrafił. Niech pan opanuje się i pamięta, że czekają nas na dole.

— Lecz kto to mówił?

— Zaraz się o tem dowiemy — odpowiedział i nie zwracając uwagi na me błagalne spojrzenie, otworzył drzwi.

Weszliśmy do pokoju. Przed sobą ujrzałem czarujący widok: niebieskie portyery, niebieskie obicia — wszystko to sprawiało wrażenie, jakby błękitne niebo opuściło sie głębiny zmroku. Oślepiony tym niespodziewanym blaskiem i światłem, postąpiłem machinalnie kilka kroków naprzód i zatrzymałem się przed nowym widokiem. W niebieskim fotelu, obitym atłasem siedziała cudna kobieca postać. Sądząc z jej postaci, ona właśnie wymówiła usłyszane przez nas straszneo skarżenie. Była blada, delikatna i urocza jak lilia. Miała na sobie jasny penioar, którego fałdy spływały wzdłuż jej wspaniałej postaci. Białe czoło odznaczało się regularnością linii; nad niem jak korona puszyły się jasne włosy. Lekko, drżącą ręką opierała się o poręcz krzesła, drugą wskazywała na jakiś przedmiot, znajdujący się w głębi, w rogu pokoju. Wzrok jej był tak niespodziany, a zarazem tak piękny i tak niezwykły, i rzeczywiście zawahałem się na chwilę, nie wiedząc czy przed sobą mam zwykłą postać ludzką, czy też jedną ze starożytnych prorokiń, uosobiających gniew i wyrzut.

— To miss Mary Lavenfort — szepnął mi do ucha wszystkowiedzący mój towarzysz.

Ach, to miss Mary — pomyślałem i doznałem zaraz pewnej ulgi. A więc to urocze stworzenie nie jest Eleonorą, która umie nabijać rewolwer, celować i strzelać z niego. Zwróciłem głowę i popatrzyłem w stronę, w którą wskazywała Mary. Pozostała jak skamieniała z wyciągniętą ręką, mimo iż wejście nasze przerwało kłótliwą scenę, jaka toczyła się między obiema pannami. Obróciłem się i ujrzałem... Nie, pióro moje nie zdolne jest opisać to, com zobaczył. Eleonorę winien opisać kto inny, a nie ja.

Cały dzień mógłbym spędzić na przedstawianiu piękności, doskonałości linii, uroku bijącego z twarzy Mary Lavenfort, opisać jednak Eleonorę!

Coś czarującego a zarazem strasznego, wspaniałego a jednocześnie i bolesnego było w tej, którą ujrzałem i wobec której w tej samej chwili zapomniałem o jej cudownej kuzynce, widziałem przed sobą Eleonorę i tylko Eleonorę. Stała przy stole, zwrócona twarzą do Mary; jedną rękę miała przyciśniętą do piersi, drugą opierała się o stół i miała taką minę, jakby zamierzała odeprzeć atak.

Nie zdążyłem jeszcze oswoić się z doznanem wrażeniem, jakie mnie ogarnęło na widok jej piękności, gdy naraz zwróciła się ku mnie i oczy nasze spotkały się. Dotychczas stała w dumnej pozie kobiety, gotowej przyjąć rzucone jej wyzwanie, lecz w chwili tej w oczach jej wyczytałem tyle niewypowiedzianego bólu i cierpienia, iż zdało mi się, że wiem już, co dzieje się w jej duszy. Kuzynka jej pierwsza opanowała się, podeszła do mnie i podając rękę, rzekła:

— Pan Rymond, prawda? Jak to uprzejmie z pańskiej strony, że pan przyszedł. — Zwracając się do Grysa, dodała: Pan zapewne chce nam oznajmić, iż czekają już na nas?

Był to ten sam głos, który słyszeliśmy za drzwiami, teraz jednak brzmiał on delikatnie, jakby przymilająco. Rzuciłem szybkie wejrzenie na Grysa, by upewnić się, jakie wrażenie wywarła na niego ta scena; on skłonił się nisko przed Mary z taką miną, jakby przepraszał ją, że ją niepokoi. Na kuzynkę jej nie patrzył wcale, choć oczy jej zwrócone były na niego z rozpaczą i błaganiem.

O tyle znałem już Grysa, iż łatwo mogłem pojąć znaczenie jego ignorowania tej, która, zdawało się, umierała ze strachu i nieświadomości. Poddawszy się porywowi współczucia, zapomniałem odpowiedzieć na pytanie Mary, a zamierzałem podejść wprost do jej kuzynki.

Grys jednak dotknął się w tej chwili mej ręki i rzekł głośno:

— Mis Lavenfort mówi do pana.

Odrazu przywróciło mnie to do równowagi. Obróciłem się plecami do tej, która oczarowała mnie, a zarazem i przejmowała strachem i podchodząc do jej kuzynki, podałem jej rękę, by sprowadzić ją na dół.

W chwili tej na dumnej i bladej twarzy Mary Lavenfort drgnęło coś, na ustach zaś jej zamalował się uśmiech, jakiego nigdy przedtem ani potem nie widziałem u żadnej kobiety, ona jedna tylko umiała tak uśmiechać się. Popatrzyła na mnie z jakiemś rozczulającem błaganiem w oczach i wyszeptała:

— Pan jest bardzo dobry, czułam potrzebę czyjegoś poparcia i opieki. Spotkało nas straszne nieszczęście, a kuzynka moja — spojrzenie jej przytem stało się niespokojne — zachowuje się dzisiaj tak dziwnie i niezrozumiale dla mnie.

„Gdzie jest teraz ta groźna i pełna oburzenia prorokini, którą ujrzałem w pierwszej chwili zjawienia się naszego w jej pokoju — pomyślałem bezwiednie — może chce obecnie zająć naszą uwagę lub zmienić wrażenie, jakie wywarła na nas swem oskarżeniem, a które, jak przypuszcza, mogliśmy dosłyszeć“.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Lwowski teatr w Wiedniu:



Adolf Walewski.



Ferdynand Feldman.



Irena Trapszo.



Józef Chmieliński.



Karol Adwentowicz.



Lwowski teatr w Wiedniu: Irena Bohus-Hellerowa,

Jubileusz handlowców warszawskich.

Przed paru dniami święciło warszawskie towarzystwo pracowników handlowych i przemysłowych uroczyście ćwierćwiekowy jubileusz swego istnienia. Właściwie dwudziesta piąta rocznica istnienia i działalności Towarzystwa powinna była być obchodzoną 30 grudnia r. z., albowiem w tym dniu w roku 1884 w sali giełdy warszawskiej odbyło się konstytuujące zebranie towarzystwa, na którego założenie otrzymali inicyatorowie pozwolenie po 40 letnich staraniach i zabiegach.

Po ćwierćwiekowej pracy liczba członków, wynosząca przy założeniu 132 wzrosła do 2400 a majątek z 3000 rb. do pokaźnej kwoty 172 000 rb. Prócz specyalnych funduszów, przeznaczonych na zasiłki dla wdów i sierót, na stypendya, wydawnictwa, zapomogi dla członków, posiadają warszawscy handlowcy osobny fundusz, wysokości blisko 100 000 rb. na budowę własnego gmachu.

Z jubileuszem 25 letniego istnienia otwarło Towarzystwo nową erę swej działalności, obecnie na podstawie nowej ustawy znacznie rozszerzonej.

Uroczystości jubileuszowe rozpoczęty się solennem nabożeństwem w kościele katedralnym. Wieczorem w salach Towarzystwa odbył się wspaniały raut, poczem tak członkowie jak i zaproszeni goście zasiedli do wspólnej uczty, w ciągu której wzniesiono liczne toasty, tak na cześć kupiectwa polskiego jak i pomocników handlowych.

Uczestnikom uroczystości wręczono pięknie wydany pamiętnik 25 letniej działalności Towarzystwa.



Lwowski teatr w Wiedniu: Dyrektor L. Heller.



Jubileusz handlowców warszawskich: Grupa uczestników uroczystości jubileuszowych Towarzystwa pomocników handlowych i przemysłowych w Warszawie.

Kronika tygodniowa.

(Trafność zdania ś. p. Lama. — Zbiegowisko przed sądem. — Zdziwienie, gdym przybył w południe do domu. — Gwałtu, co się dzieje? — Obiadu nie będzie! — Żałosne refleksye z tego powodu. — Gdzie winowajca? — Dlaczego proces Borowskiej tak zainteresował cały Kraków? — Kłopoty dziennikarza z okazyi tegoż i grzeczność pana ministra. — Jak należało dziennikarzom rozdawać bilety?)

Wprawdzie nawołują nas różni prorocy, byśmy porzucili dotychczasowe drogi, które trącą pleśnią starożytności, a zwrócili się na drogę postępu, przekonujemy się jednak, iż u nas dzieje się wszystko po dawnemu. Już ś. p. Lam, jeden z najlepszych humorystów polskich i kronikarzy, porównując Galicyę ze wzburzonem morzem, znalazł między niemi wiele wspólności, już choćby tylko w tym względzie, iż i tu i tam widzimy ogromną ilość różnej wielkości bałwanów. Ta tylko między niemi różnica, że gdy morskie wprawiają w ruch wiatr rozszalały, ziemskie poruszają się o własnej sile i według swej woli, dlatego też i odpowiedzialne są za swe postępki.

To zdanie ś. p. Lama przyszło mi na myśl w poniedziałek, dnia 10. stycznia b. r., gdym przed bramą sądu karnego u świętego Michała zobaczył o godzinie 9 rano gromadę kobiet wszelkiego wieku, stanu, tuszy, wyznania i zapatrywań politycznych, dobijających się do drzwi budynku, od których w normalnych warunkach każdy stroni. W południe powtórzyła się ta sama scena, z tą jednak różnicą, iż miejsce płci pięknej, która około południa usunęła się w zacisze ogniska domowego, zajęła płeć brzydka i to w takiej ilości, iż dwu komisarzy policyi i coś około czterdziestu żołnierzy z trudem tylko zdołali utrzymać jaki taki porządek. Zachodziłem w głowę, coby mogło być przyczyną tych zbiegowisk, czy jakie cudowne objawienie, czy inna jaka, doniosła dla kraju lub narodu okoliczność, dowiedziałem się jednak, iż są to tylko amatorzy i amatorki, którzy chcieliby podrażnić swe nerwy w czasie procesu Borowskiej, rozpisanego na dni 12, a zaczynającego się w dniu 12. stycznia.

— Hm! nieboszczyk Lam miał przecież racyę! — pomyślałem sobie, idąc ku domowi.

Biła właśnie godzina pierwsza, gdym zgłodniały przekroczył próg mego mieszkania i organ węchu zwrócił w stronę kuchni, skąd zazwyczaj o tym czasie dochodziły mnie nader miłe zapachy, tak przyjemnie łechcące nerwy powonienia i smaku i usposabiające do przedobiednich rozmyślań, co też podadzą mi dziś, polędwicę, czy zrazy. Niestety jednak dziś ma się rzecz inaczej. Grobowa cisza zalega całe mieszkanie, z kuchni nie dolatują przyjemne brzęki rondli i talerzy, ani też owe zapachy, które tak łechcą nasze podniebienia.

Wiedziony jakiemś złem przeczuciem, otwieram drzwi kuchenne... Ognisko wygasłe, na podłodze porozrzucane części damskiej garderoby, rzekłbyś, horda tatarska przeszła tędy niedawno. Wtem oko moje padło na łóżko, na którem spostrzegłem służącą, obwiązaną bandażami i jęczącą z cicha. W powietrzu czuć było woń arniki.

— Kasiu — zawołałem w rozpaczy — co się stało? Czyżby bandyci?... Gdzie pani?!...

Po chwili dopiero otworzyła biedna dziewczyna oczy, powiodła błędnym wzrokiem dokoła i jęcząc wystękała raczej, niż wypowiedziała:

— Pani leży chora w pokoju!...

Złapałem się za głowę, przez którą przeszła lotem błyskawicy myśl, czy to przypadkiem nie cholera lub dżuma. Chciałem biedz do telefonu, by wezwać pogotowie ratunkowe, postanowiłem jednak przedtem dowiedzieć się o przyczynie tej epidemii.

— Co wam się stało?! — wrzasnąłem z rozpaczą.

— Ach, proszę pana! — odparła zagadnięta z prawdziwym bólem w głosie. — My chodziłyśmy z panią po bilety na proces Borowskiej. Tam nas tak pobiły i pogniotły inne panie i sługi, które tam się już wcześniej zebrały, że dopiero buda przywiozła nas do domu...

— A cóż z obiadem? — badałem dalej, gdyż ta kwestya obchodziła mnie najżywotniej.

— Nie wiem, proszę pana, ale pani w ścisku skradziono pugilares i podarto żakiet!...

Masz babo redutę! pomyślałem sobie... Obiadu wprawdzie jeść nie będziesz, ale przecież może raz żona przekona się, że Lam miał słuszność, że nie trzeba się pchać, gdzie cię nie proszą, że zbyteczna ciekawość ma nieraz i paskudne następstwa. Przybrawszy poważną minę, choć właściwie na śmiech mi się zbierało, wszedłem na palcach do naszej małżeńskiej sypialni. Z łoża, z pomiędzy stosu poduszek i pierzyn, widniało okrągłe oblicze mej czcigodnej towarzyszki życia z kilku sińcami, z piersi jej odzywało się żałosne jęczenie, z którego mogłeś poznać łatwo nadmiar boleści, rozsadzającej jej tkliwe łono.

— A widzisz? A nie mówiłem? — rzekłem z ucuciem. — Po cóż było tam łazić?

Głuche westchnienie było na to odpowiedzią.

Nie rzekłszy słowa zabrałem kapelusz i powoli wyruszyłem na miasto, aby posilić gdzieś swe grzeszne ciało i dowiedzieć się, czy też wielu w Krakowie mam towarzyszy niedoli. Dzięki Bogu było ich więcej niż dwa tuziny, których żony poturbowano w ścisku i którzy również nie dostali w domu obiadu. Wszczęto dyskusyę przy lampce zieleniaka...

I niech mi kto powie, co tak wpłynęło na Krakowian, że nie obawiali się narazić zdrowia i życia, by zdobyć bilet wstępu na rozprawę, w czasie której miano poruszać różne drażliwe momenty ze stosunku wzajemnego dwojga osób. Rzecz prosta w pierwszym rzędzie gra tu rolę zwykła ludzka ciekawość i gonienie za skandalami, w drugim zaś tegoczesne przeczulenie nerwów pokolenia, które potrzebuje zawsze jakichś nadzwyczajnych wrażeń i podniet. Części młodego pokolenia nie dziwię się wcale, gdyż ono żyje nowem życiem, o którem my pojęcia nie mamy, ale już w żaden sposób nie mogę sobie wytłómaczyć, co w sali rozpraw sądowych mają robić poważne matrony, żony i matki. Czy i one potrzebują nadzwyczajnej podniety dla swych starganych nerwów, które powinny były zahartować się w szkole życia? Czy jest to tylko może gonienie za nadzwyczajnością i niemądre naśladowanie innych, która tak postępują?

Które z przypuszczeń jest prawdziwem, w to nie wchodzę, los mojej poczciwej, Bogu ducha winnej małżonki niech będzie odstraszającym przykładem dla reszty przedstawicielek płci pięknej, które szukając nadzwyczajnych wrażeń, znalazły tylko sińce i szturchańce... Że też tam wielu przedstawicieli Izraela pchało się gwałtownie po bilety, temu się nie dziwię, nimi powodował po większej części interes, gdyż taki bilet może się bardzo pięknie oprocentować i w ciągu trzech tygodni przynieść właścicielowi wcale pokaźny dochodzik, jeśli za przystępną cenę zechce go odstępować na kilka godzin różnym ciekawym, których przecie nigdy nie braknie.

Część winy spaść musi także na prezydyum sądu, które w niewłaściwy sposób urządziło wydawanie biletów.

Wogóle sprawa Borowskiej tak poruszyła całe nasze społeczeństwo, iż od tygodnia w domu, w szkole, w restauracyi, na spacerach, w teatrze, wogóle wszędzie, nie mówi się o niczem innem, tylko, co Borowska mówi, co myśli, co je, czy pisze pamiętniki, czy ją uwolnią, czy nie? Powszechną zazdrość budzą sędziowie przysięgli, którzy bez starania się o bilety, obecni będą na rozprawie i dziennikarze, którym ja jednak nie zazdroszczę, wiedząc z doświadczenia, iż porządnie się wypocą.

Zważywszy jednak wszelkie *pro* i *contra* spytajmy się sami siebie, dlaczego ta sprawa tak nas zajęła, że wygasły nawet ogniska kuchenne, a wszelkie, nawet najżywotniejsze sprawy znalazły się na drugim planie...? Odpowiedź na to zupełnie prosta. Ludziska, którym się zdaje, że są bardzo zajęci i narzekają ciągle na brak czasu, przecież nie wiedzą, jak go spędzić i wyszukują sobie rozrywki, o ile możności gratisowe. Nadto każdy z nas obdarzony jest sporą dozą ciekawości i skłonności do bajczarstwa, oraz chęcią gonienia za senzacyjnymi skandalikami, w które jest wmieszaną jakaś kobieta. Dodajmy do tego zdenerwowanie obecnego pokolenia, a mamy motywy, które skłoniły Krakowian i Krakowianki do oblegania murów krakowskiego kryminału.

Przy tej sposobności warto poruszyć jeszcze jedną okoliczność, która nasuwa mi się właśnie z okazyi owego sensacyjnego procesu. Na całym cywilizowanym świecie panuje zwyczaj, iż tak poszczególne jednostki, jak i władze, tak rządowe, jak autonomiczne, starają się dziennikarstwu iść na rękę. Wszędzie się to dzieje, tylko niestety nie u nas. Raz już wspominaliśmy o trudnościach, jakie robił naszemu redakcyjnemu fotografowi pewien dygnitarz, który absolutnie zabronił mu fotografowania jakiejś grupy na podwórzu biblioteki Jagiellońskiej. Ubolewaliśmy wówczas srogo nad zapalczywością owego uczonego męża, dziś przychodzi zanotować nam zupełnie analogiczny wypadek. Współredaktor naszego pisma, i to najodważniejszy z pomiędzy całego grona, wybrał się w ów fatalny poniedziałek do prezydyum sądu krajowego karnego z prośbą o bilety redakcyjne na rozprawę. Pan prezydent orzekł jednak, że pismo tygodniowe illustrowane nie powinno mieć swego reprezentanta na sali i kategorycznie odmówił. Nie pozostawało nic innego, gdyż groziło *periculum in mora*, jak telegraficzne zwrócenie się do ministra sprawiedliwości, który był zupełnie innego zdania i telegraficznie polecił wydanie biletów. Prawdopodobnie wie pan minister, jakimi względami cieszą się we Wiedniu przedstawiciele prasy, choćby nawet niepolitycznej i dlatego poszedł nam na rękę.

Szkoda, że czas spóźniony, ale dałbym panu prezydentowi bardzo dobry sposób, w jaki możnaby obdzielić dziennikarzy biletami wstępu, tak, aby był i wilk syty i owca cała, tj. aby nie ucierpiała na tem powaga pana prezydenta, a dziennikarze mieli pewną satysfakcyę. Należało ich zaprosić na oznaczoną godzinę, kazać się ustawić w szereregu, a potem rzucić między nich kilkanaście biletów (tak, jak to było z proszącemi o karty wstępu paniami). Zmęczeni czekaniem rzuciliby się przedstawiciele prasy na siebie i poturbowali nieco, wiadomo bowiem, że jest to bardzo wojowniczy narodek. Wówczas zręczność i siła decydowałaby o ich otrzymaniu, a nie względy polityczne i obeszłoby się bez interwencyi ministeryalnej.

Niech zaś jednak ktoś nie myśli, że owi dziennikarze wiodą brylantowy żywot na sali rozpraw sądowych w Krakowie, nawet po jej rekonstrukcyi, której dokonano dzięki interwencyi sędziego przysięgłego p. Miedniaka. Ława dziennikarska przypomina beczkę śledzi, a nadto dla przyjemności mają za plecami audytoryum, które im ustawicznie przeszkadza. Ciężka więc, jak z tego widać, dola dziennikarska, a zamiast ją osłodzić, zatruwa nam ją jeszcze społeczeństwo na każdym kroku, gdyż nie możemy nigdy liczyć na jego poparcie, i to ani materyalne, ani moralne. Gazetę każdy chętnie przeczyta, ale o ile możności „za darmochę“, gdzieżby tam bowiem poważny obywatel wydawał pieniądze na jakąś bibułę! To się ponim nie pokaże!

W rocznicę strasznej katastrofy.

Rok minął właśnie od chwili, kiedy świat cały zelektryzowała ponura, żałobna wiadomość o strasznej katastrofie żywiołowej, która nawiedziła południowe Włochy i wyspę Sycylię. Wszystkie cztery żywioły: woda, ogień, powietrze i ziemia, jakby się sprzęgły wówczas ku zniszczeniu pięknej krainy. Niepamiętne trzęsienie ziemi w gruzy zamieniło setki wsi i kwitnących miast. Równocześnie wystąpiło z brzegów morze, zalewając swemi falami nadbrzeżne miejscowości. Wybuchły też w wielu miastach pożary, a huragan powiększył grozę straszliwego nieszczęścia.

Więc okropne były skutki tej pamiętnej katastrofy, która prócz milionowych szkód materyalnych spowodowała też śmierć tysięcy ludności. Ale i cały świat cywilizowany pospieszył z pomocą dotkniętej katastrofą ludności, dając w ten sposób piękny dowód współczucia dla nieszczęśliwych.

Zwolna więc, dzięki pomocy rządu włoskiego i ofiarności ludów, poczęła się ludność owych okolic odbudowywać, choć jeszcze dziesiątek lat potrzeba, by pamięć o katastrofie wygasła i by wygląd tej części krainy włoskiej powrócił do dawnego stanu.

Obecnie pod świeżem tak jeszcze wrażeniem strasznych chwil, ludność Messyny i innych miast urządziła na gruzach i ruinach swych domów w rocznicę katastrofy uroczystości żałobne, ku pamięci zmarłych tragicznie współobywateli.

Zdjęcie nasze przedstawia właśnie procesyę, przechodzącą po gruzach na jednej z ulic w Messynie.

Wśród drzew szpilkowych pierwszorzędna
KAWIARNIA J. BISANZA
w Krakowie, przy ul. Dunajewskiego 1, parter

Nowy kurs na Węgrzech.

Misya Lukacsa, który miał utworzyć nowy gabinet węgierski, spełzła na niczem. Lukacs nie mógł znaleść oparcia w sejmie węgierskim, co więcej nie mógł nawet wśród polityków węgierskich znaleść takich, którzyby przyjęli ofiarowane im teki ministeryalne.

Widząc niepowodzenie misyi Lukacsa, polecił cesarz hr. Khuen-Hederwaremu utworzenie gabinetu.



Nowy kurs na Węgrzech: Nowy prezydent gabinetu na Węgrzech, hr. Karol Khuen-Hedervary.

Z góry można przewidzieć los nowego premiera, nie cieszącego się wcale zbytnią sympatyą u żadnego ze stronnictw. Khuen-Hederwary liczy się z tą ewentualnością, że sejm węgierski przyjmie go wrogo i dlatego biorąc na się misyę utworzenia nowego gabinetu, z miejsca wziął także pełnomocnictwo do rozwiązania Izby. Wprawdzie Hederwary oświadczył, że chce rządzić konstytucyjnie i w drodze pokojowej zażegnać przesilenie, mimo to jednak dodał, że zdecydowanym jest na przeprowadzenie nowych wyborów pod hasłem czteroprzymiotnikowej reformy prawa wyborczego.

Nie ulega wątpliwości, że tak partya Justha jak i Kosutha pójdą przeciw Hedervary'emu, gdyż nowy premier jest wrogiem zarówno koncesyi wojskowych jak i bankowych.

Zmiana rządu w Turcyi.

Wpływy i potęga Młodoturków znowu wystąpiły w całej pełni w chwili, gdy Hilmi-basza okazał się „Komitetowi jedności i postępu" niewygodnym. Upadek Hilmy-baszy ze stanowiska wielkiego wezyra wywołał też w świecie całym tem większą sensacyę, jako że przyszedł zupełnie niespodziewanie i spowodowany został intrygami parlamentarnemi.

Hilmi-basza opuszcza Konstantynopol i wyjeżdża do Paryża, gdzie syn jego Kemal-bej ma zamiar poświęcić się studyom prawniczym.

Powołany obecnie na premiera tureckiego ambasador z Rzymu, Hakki-bej, jest jeszcze człowiekiem stosunkowo młodym. Liczy obecnie 45 lat i jest niezwykle wykształconym.

Gabinet Hakki-beja będzie posiadać charakter wybitnie młodoturecki i składać się będzie z osobistości najpopularniejszych w młodej Turcyi.

„Mizantrop" na scenie krakowskiej.

Teatr krakowski wystawił w tym sezonie znakomitą komedyę Molliere'a, p. t. „Mizantrop", jedno z tych arcydzieł literatury francuskiej, które się nigdy nie starzeją i zawsze wywierają wielkie wrażenie, zwłaszcza wśród publiczności wykształconej i kulturalnej.

Wystawiono „Mizantropa" na scenie teatru krakowskiego z zupełną starannością. Usiłowania inteligentnej reżyseryi wsparli doskonali artyści, z pp. Solską i Arkawinówną oraz z Weychertem (w roli tytułowej), na czele.

Do powodzenia sztuki Molliera przyczyniła się prócz doskonałej gry artystów, także stylowa wystawa, a przedewszystkiem przepiękne, oryginalne francuskie kostyumy.

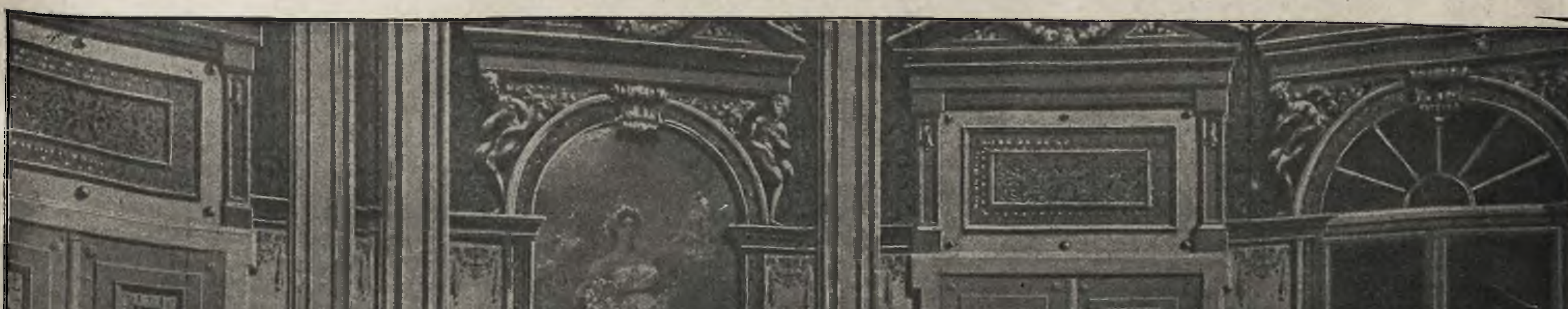
Po zamachu w Petersburgu.

Śledztwo w sprawie wybuchu bomby w Petersburgu, którego ofiarą padł naczelnik petersburskiej



Zmiana rządu w Turcyi: Hekki-bej, nowy wielki wezyr turecki.

tajnej policyi, pułkownik Karpow, stwierdziło, że rozchodzi się w tym wypadku o zwykły zamach



„Mizantrop" na scenie krakowskiej: Scena z ostatniego aktu. (Pp. Łomska, Jarszewski, Arkawin, Weychert, Stanisławski, Jednowski, Solska, Mielnicki).



Proces Borowskiej: Przewodniczący trybunału, radca apelacyjny dr. Hi ronim Błonarowicz.

przygotowany z rozmysłem przez rewolucynistę Woskresieńskiego.

Pułkownik Karpow wpadł w dobrze przygotowaną pułapkę i poniósł śmierć w mieszkaniu, które sam wynajął i urządził dla schadzek z tajnymi agentami policyi petersburskiej.

Sprawca zamachu Woskresieński, służył — jak się okazało — policyi rosyjskiej po to, by informować rewolucyonistów o zamiarach policyi. Obecnie agnoskowała policya petersburska w Woskresieńskim znanego i głośnego rewolucyonistę Pietrowa.

Proces Borowskiej.

Wśród ogólnego naprężenia i zaciekawienia rozpoczął się w środę tego tygodnia sensacyjny proces Janiny Borowskiej. A do ostatniej chwili nie wiedziano pewnie, czy proces ten rozpocznie się w oznaczonym czasie, czy też zostanie odroczony, z powodu choroby oskarżonej. Borowska bowiem, wskutek złego odżywiania się, bezsenności i zdenerwowania, zrozumiałego zresztą wobec bliskiego terminu rozprawy, podupadła zupełnie na siłach, tak że nawet lekarze sądowi uznali, iż stan jej zdrowia jest bardzo zły. Wskutek perswazyi obrońcy swego, dra Szalaya, zdecydowała się jednak Borowska mimo to stanąć przed przysięgłymi, sąd zaś ze względu na osłabienie jej. pozwolił na rozmaite udogodnienia, jak wniesienie fotelu, obecność lekarza przez cały czas rozprawy, pokrzepianie jej odpowiednimi środkami.

Wszystkie miejsca, przeznaczone dla publiczności, wypełniły się zaraz po otwarciu sali. Przeważa wśród audytoryum płeć piękna.

Za stołem na podwyższeniu zajęli miejsca członkowie trybunału z przewodniczącym, radcą apelacyjnym Błonarowiczem w pośrodku. Obok niego zasiedli: nadradca dr. Jasiewicz i radca dr. Kopf, jako wotanci, a radca Kraus jako zastępca. Na lewo zajął swe zwykłe miejsce prokurator dr. Marowski wraz z zastępcą rodziny ś. p. Lewickiego, adwokatem dr. Kłębkowskim. Dalej zasiadł obrońca Borowskiej, adw. dr. Szalay. Ława przysięgłych złożona przeważnie z ludzi wolnych zawodów.

Przed trybunałem, oparta na fotelu, oskarżona Janina Borowska, odziana w czarną suknię, w kapeluszu i gęstej, czarnej woalce na twarzy. Zmieniona skutkiem przejść, długiego więzienia śledczego i choroby, do niepoznania. Obok Borowskiej zajęła miejsce dozorczyni, uzbrojony zaś woźny usiadł w oddaleniu.

Rozprawa, rozpoczęta w środę potrwać ma dni kilkanaście. Zdaje się, że dłużej się nie przeciągnie, przewodniczący bowiem, radca Błonarowicz. znany jest z energii, a w prowadzeniu rozpraw jest prawdziwym mistrzem.

Zadanie obrony będzie trudne niewątpliwie, bo oskarżenie popiera jeden z najzdolniejszych urzędników krakowskiej prokuratoryi, dr. Marowski, człowiek wielkiej wiedzy i znakomity mowca, a do po-



Proces Borowskiej: Prokurator dr. Kazimierz Marowski.



Echa kradzieży na Jasnej Górze: Część kosztowności, odnalezionych w popiele pod Dęblinem.



Proces Borowskiej: Adw. dr. Kłębkowski, zastępca rodziny ś. p. Lewickiego.

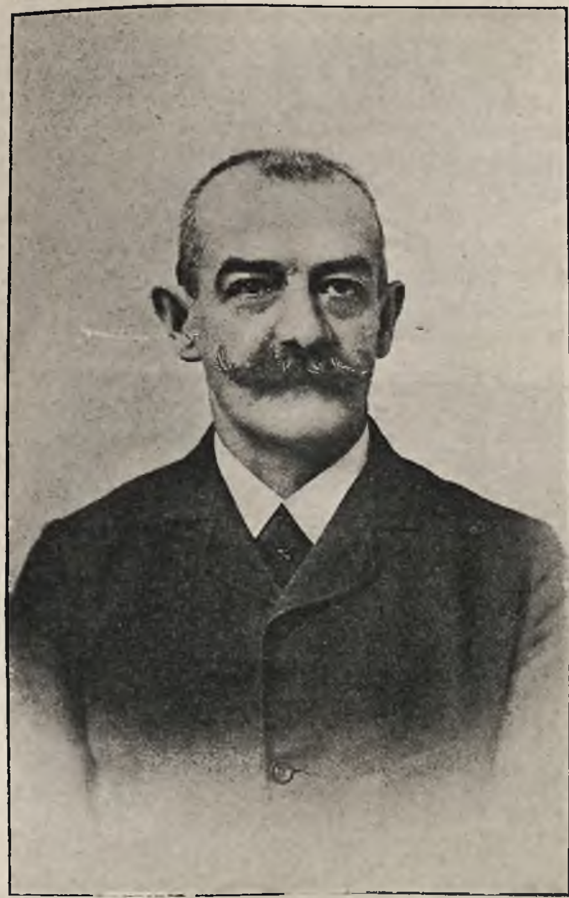
mocy ma zastępcę rodziny ś. p. Lewickiego, młodego ale dziś już wybitnego adwokata dra Kłębkowskiego. Spoczywa jednak ta obrona w rękach niezwykle wytrawnych, bo adwokata dra Ludwika Szalaya, który w ciągu długoletniej swej działalności zdobył



Proces Borowskiej: Zast. wotanta radca Eugeniusz Kraus.

sobie imię i opinię jednego z najdzielniejszych obrońców.

Już więc z tego względu, ze względu na spodziewane starcia między oskarżycielami i obroną, rozprawa zapowiada się niezmiernie interesująco. Ogólne zaciekawienie budzą też zeznania oskarżonej, której przesłuchanie rozpoczęło się zaraz po odczytaniu aktu oskarżenia. Stanowisko jej konsekwentne od samego początku śledztwa aż do rozprawy. Do



Proces Borowskiej: Wotant radca dr. Józef Kopf.

winy się nie poczuwa, przeczy jakoby ś. p. Lewickiego zamordowała, a podtrzymuje swe twierdzenia, iż ś. p. Lewicki pozbawił się sam życia. Przedtem zaś bardzo obszernie i szczegółowo zeznawała o swem poznaniu się z dr. Lewickim i kolejach stosunku z nim.

Szczegółowo zeznań oskarżonej podawać nam niepodobna. Z powodu braku miejsca na to, ograniczamy się do tych tylko ogólnikowych wiadomości, uzupełniając je szeregiem zdjęć i portretów osób, którzy biorą czynny udział w sensacyjnym procesie. Zainteresuje niewątpliwie Czytelników zdjęcie kuchni mieszkania ś. p. Lewickiego, na której piecu widoczne są ślady i resztki popalonych przez oskarżoną papierów.



Proces Borowskiej: Wotant radca apelacyjny dr. Leon Jasiewicz.

Aresztowanie mordercy.

Żywo tkwią dotąd w pamięci Warszawy szczegóły zabójstwa, dokonanego na osobie Franciszki z Idzikowskich Waszkiewiczowej, kapitalistki, wdowy po



Proces Borowskiej: Kuchnia w mieszkaniu ś. p. Lewickiego, z piecem kuchennym, w którym Borowska paliła listy. Na piecu i w palenisku resztki popiołu i niedopalonych papierów.

abrykancie, zamordowanej w mieszkaniu własnem w Warszawie przy ul. Nowy Świat Nr. 22.

Otóż śledztwo i badania daktyloskopijne ustaliły, że zabójstwa dokonał brat męża ofiary, Floryan Waszkiewicz, który często ś. p. Waszkiewiczową



Po zamachu w Petersburgu: Rewolucyonista Woskresieński *recte* Pietrow wraz z narzeczoną.

odwiedzał i wiedział o tem, że kobieta ta posiada większą gotówkę. Wskutek wyniku dochodzeń Waszkiewicza aresztowano i osadzono na Pawiaku.

ha kradzieży na Jasnej Górze.

Śledząc za sprawcami kradzieży, popełnionej w klasztorze jasnogórskim, wpadła policya warszawska na trop świętokradzców pod Dęblinem.

Pewnego dnia zwrócił uwagę jednego z włościan jakiś mężczyzna o wyglądzie mieszczańskim, który wygodnie rozkładał się na stogu siana, ustawionym na łąkach tego kmiotka. Gdy włościanin zwrócił owemu mieszczuchowi uwagę, że nie pozwoli na gniecenie siana, ten w odpowiedzi wyjął rewolwer. Włościanin ów wrócił na drugi dzień rano w towarzystwie innych mieszkańców wsi na miejsce ale nieznajomego człowieka już nie zastano.

Od pastuchów dowiedziano się, że mężczyzna ów był dwukrotnie w tym miejscu a za drugim pobytem rozpalił ogień na pobliskiem wzgórzu. W popiele znaleźli chłopcy po oddaleniu się nieznajomego mnóstwo drogich kamieni, pereł, kawałki różnych kosztowności złotych i srebrnych, wysadzanych brylantami i innymi drogimi kamieniami. Chłopcy uważając kosztowności za jakieś świecidełka, rozebrali je między siebie.

O znalezieniu skarbu dowiedziała, się wkrótce policya warszawska, która na miejsce wysłała na-



Aresztowanie mordercy: Floryan Waszkiewicz,

tychmiast agentów celem ustalenia faktów. Agentom policyi warszawskiej udało się część znalezionych kosztowności odebrać od chłopców; resztę — jak mówią owi pastuszkowie — bądź pogubili, bądź porozdawali włościanom okolicznym.

Przedmioty, pochodzące z kradzieży na Jasnej Górze, a znajdujące się obecnie w depozycie policyi warszawskiej, przedstawia nasza fotografia. Znajduje się między nimi: 1) krzyż złoty, wysadzany brylancikami i granatkami; 2) klamerka złota, używana do naszyjników; 3) część jakby broszy złotej, wysadzanej kamieniami, szlifowanymi po staroświecku; 4) kilkadziesiąt pereł prawdziwych; 5) perła fałszywa, przepołowiona; 6) srebro, otrzymane prawdopodobnie z wypalenia szychu srebrnego lub też materyi, srebrem tkanej.

Aresztowanie złodziei pocztowych.

Głośną była sprawa kradzieży 14.000 koron z worka pocztowego na głównym dworcu we Lwowie, popełniona w dniu 9. grudnia z. r. Mimo usilnych starań i bardzo skrupulatnego śledztwa policyjnego, przez cały miesiąc nie można było wpaść na trop winowajców, którzy urządzili tę kradzież bardzo sprytnie, a następnie potrafili się ukrywać przez kilka tygodni przed czujnem okiem władz.

Ale przyszła wreszcie smutna chwila, kiedy policya wpadła na ich ślad i pozbawiła nie tylko ciężko zapracowanego grosza ale i wolności. Złodziejami okazali się Bronisław Dzik, b. pocztylion oraz jego przyjaciel Stefan Hoffman, lokaj u jednego z lekarzy. Kradzież, jak wykazało śledztwo, popełnił Dzik, obznajomiony z czasów swego „urzędowania“ z manipulacyą pocztową, a pieniądze oddał zaraz na



Złodzieje pocztowi: Stefan Hoffman.

dworcu swemu wspólnikowi Hoffmanowi do przechowania.

Przez cztery tygodnie bawili się wesoło złodzieje, hojnie rozdzielając pieniądze, niczego sobie nie szczędząc. Dopiero aresztowanie przez komisarza Pisarskiego położyło kres ich hulankom.

Obaj aresztowani oraz żona Hoffmana, przyznali się do spełnienia kradzieży, opisując najdokładniej sposób, w jaki to uczynili,



W rocznicę katastrofy: Procesya ludności na gruzach Messyny.



Złodzieje pocztowi: Bronisła[illegible]ik.

Rozwiązanie zagadek z Nr 1.

Zagadka literacka: Kondratowicz.

Arytmograf trójkątny: Monitor.

Szarada: Poeta.

Logogryf: Voltaire, Rousseau.

Logogryf: Antoni Lange.

Szarada: rak, kar, ar.

Zagadka do przestawienia: Lepszy wróbel w ręku, jak kanarek na dachu.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: K. Fuchs Czeremchów, K. Gromska Karłowszczyzna, H Krupecki Warszawa, O Górkowa Chyrów, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, S. Karczmarski Kraków, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, H. Maciejowska Warszawa, S. Bukowski Kraków, Z. Górecki Krosno, M. Ogibińska Strzyżów, K. Flis Kraków, M. Piękoś Brody, W. Gliwa Kraków, W. Kowalski Sandomierz, W. Ostrowski Sandomierz, K. Lindenbaum Czerniowce, J. Engelberg Rzeszów, M Wang Przemyśl, J. Nowacki Przemyśl, L. Mrozicki Zakopane, J. Bier Wadowice, M. Latoszyńska Kraków, R Szymański Łódź. A. Balicki Kraków, S. Singer Stanisławów, B. Grołowski Kraków, S. Liebermann Rzeszów, K. Radoszewski Żywiec, M. Krawecka Rzeszów, H. Liskowacki Podgórze, M. Straszewska Warszawa, S. Rosenbaum Rzeszów, Z. Obertyński Lwów, W. Mazaraki Radom, S. Lewiński Krosno, L. Wąsowicz Lwów, G. Gryziecka Radom, Z. Oszacki Zakopane, W. Herman Lwów, J. Droździkowski Lublin, M. Kretowicz Rohatyn, W. Aleksandrowicz Krosno, J. Pick Warszawa, J. Schmidt Stanisławów, W. Rabinowicz Kołomyja, M. Wyka Sanok, W. Lasocka Sambor, K. Krzyżanowski Kraków, S. Kaczkowski Podgórze, M. Cholewicz Kraków, M. Zabieszewska Kraków, M. Linowski Krosno, L. Arzt Warszawa, J. Czarkowski Uhnów, K. Lemiszewska Kołomyja, Z. Czekański Olszanica. S. Karwowski Kraków, L. Kamocki Rzeszów, M. Zatorska Nowy Sącz, M. Swirski Sandomierz, M. Silberstein Wadowice, W. Rybak Rzeszów, J. Jahoda Cieszyn, J. Kazimierczuk Jaworzno, K. Samlicki Mińsk, K. Agat Warszawa, W. Zachara Łódź, J. Kapalska Kołomyja, M Krysakowski Rzeszów, J. Lemański Warszawa, T. Nikiel Zakopane.

Nagrodę przez losowanie otrzymał **Z. Górecki Krosno.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Zwracamy jeszcze raz uwagę Szanownych P. T. Prenumeratorów, iż **tylko rozwiązania nadesłane na kuponie wraz z dołączoną kartką, na której podano znaczenie 75 wyrazów, dopuszczone będą do losowania.**

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. K. Fuchs, Czeremchów: Rozwiązań zagadek z Nr 51. nie otrzymaliśmy.

WP. B. Staniszewski Sosolówka: Duplikat otrzymaliśmy. Kwitu na niszczenie prenumeraty P. T. galicyjscy Prenumeratowie nadsyłać nie potrzebują.

WP. Z. Reichmann Borszczów: Rozwiązanie nadeszło, odpowiada warunkom konkursu.

WP. J. Słabik Warszawa: Rozwiązanie nadeszło z błędem, który powstał z naszej winy, poprawiliśmy i uważamy za dobre.

WP. E. Linn, Drohobycz: Termin nadsyłania rozwiązań i nowo utworzonych wyrazów upływa dopiero dnia 31. stycznia b. r. Do konkursu dopuszczamy wszystkie wyrazy, byle były polskiego pochodzenia. Niewłaściwe skreślimy.

WP. S. Wroński, Kraków: Wyrazów zdrobniałych i dla ogółu niezrozumiałych używać nie należy. Naukowe, o ile są polskie, są dopuszczalne. Prenumeratorzy z Krakowa nie potrzebują nadsyłać kwitów.

WP. K. Romaszkanowa, Wierzbowce: Rozwiązanie nadeszło, kwit nie potrzebny.

WP. K. Milówkowa, Piwniczna: Można. Nie właściwe skreślimy. O jednę z 25 nagród i 100 K. może się każdy, z prenumeratorów ubiegać.

WP. I. Jarkiewiczowa, Janorów: List odstąpiliśmy Polskiemu Towarzystwu Emigracyjnemu, które sie tą sprawą zajmie (Kraków, ul Kolejowa l. 3).

WP. Pinowski, Warszawa: Kwit wraz z dołączoną kopertą ofrankowaną odesłaliśmy do biura Ungra w Warszawie, które ją WPanu doręczy.

WP. T Daniec, Lwów: O obie nagrody ubiegać się może każdy. Błędy sprostowaliśmy, wobec tego rozwiązanie jest dobre.

WP. J. Piechota, Tarnobrzeg: Nadsyłanie sprostowań zbyteczne. Błędy w pierwszem rozwiązaniu poprawiamy.

WP. P. Fiderkiewicz, Brzozów: Załatwione.

WP. K. Jazienicki, Małkowce: Rozwiązanie jest dobre. Nowo utworzone z owych liter wyrazy można nadsyłać do końca stycznia.

WP. R. Korsak, Lwów: Trzeba się zdać na łaskę kapryśnego losu.

Z półek księgarskich.

Pomiędzy firmami wydawniczemi na prowincyi zajmuje bezsprzecznie jedno z pierwszych miejsc młoda stosunkowo, lecz dobrze już zasłużona firma *Alfreda Bruggera w Tarnopolu.*

Pan Brugger nabył na własność nader popularne wydawnictwo *„Biblioteki Mrówki“*, które zamierza dalej prowadzić w dotychczasowym duchu a zarazem dokonać ponownego nakładu wyczerpanych już tomików. Myśli tej należy tylko przyklasnąć, *„Biblioteka Mrówki“* bowiem w czasie kilkudziesięcioletniego swego istnienia zyskała sobie życzliwe poparcie i uznanie całego polskiego społeczeństwa.

Z dorobku wydawniczego firmy A. Bruggera z końcu roku ubiegłego i początku bieżącego wymienić należy między innemi:

A. Dobrowolskiego: **Jak smutna ballada.** Sceny dramatyczne.

S. Maciszewskiego: **Ciernie.** Fragmenty.

A. Łubieńskiej: **Przy kądzieli.** Legendy i opowiadania dla młodzieży.

Dr. A. Bollanda: **Chemia sadowa,**

J. Schnützera: **Rozwiązanie zadań zawartych** w podręczniku arytmetyki i algebry dla niższych **klas szkół średnich. I. Kranza.** (Na klasę III i IV).

Kalendarz Słowackiego na r. 1910, o nader doborowej treści, ozdobiony wielu rycinami.

T. Świszczowskiego: **Organizacya miejskich** spółek **mleczarskich.**

L. T. Sowera: **Alkohol i jego zgubne działanie.**

D. Drytcki: **Jak się wyleczyć z suchot.**

K. Hammera: **Słownik topograficzny do historyi powszechnej W. Zakrzewskiego.**

Z *„Biblioteki Mrówki“* opuściły prasę drukarską tomiki: **K. Gutzkowa: Uriel Akosta** i *Hr. L. Starzeńskiego:* **Gwiazda Syberyi.** *Objaśnienia do dzieł literatury polskiej i obcej* zawierają rozbiory: *Irydyon* Krasińskiego, *Wesele* Wyspiańskiego, *Próchna* Beresta, *Śmierci* Dąbrowskiego, *Ody do młodości* i *Farysa* Mickiewicza, *Balladyny* i *Lilli Wenedy* Słowackiego, *Utworów na tle r. 1831* Wyspiańskiego, *Nieboskiej komedyi* Krasińskiego, *Legendy, Bolesława Śmiałego i Skałki.* Wyspiańskiego.

Nader staranne wykonanie pod względem typograficznym i niska cena obok wysokiej wartości literackiej stanowią najlepszą reklamę dla wyżej wyszczególniejszych wydawnictw.

● Świat opanowały! ●
dwie nierozłączone rzeczy
Piękność kobieca i Leichnera tłusty puder
najlepszy najszkodliwszy puder na twarz, czyni płeć delikatną, różową, młodocianą; niemożna zauważyć, że się jest pudrowaną.
Taką samą sławę mają również:
Leichnera Puder Hermelin M 3·— i 1·50
Puder Aspasia M 4·—
Żądać zawsze: **Pudru Leichnera.**
Do nabycia tylko w zamkniętych puszkach we wszystkich perfumeryach i w fabryce:
L. Leichner, Dostawca królewskich teatrów
Berlin, S. W. Schützenstrasse 31.
Wystawa światowa Medyolan 1906, Grand Prix.

5000 marek nagrody



dla nie mających brody i łysych.
Brodę i włosy można rzeczywiście w przeciągu 8 dni wywołać przez użycie prawdziwego duńskiego „Balsamu Mos“ Młodzi i starzy panowie i panie używają jedynie „Balsamu Mos“ do uzyskania brody, brwi i włosów, bo zostało udowodnionem, że „Balsam Mos“ jest jedynym środkiem współczesnej nauki, który, w ciągu 8 do 14 dni tak dalece działa na cebulki włosowe, że włosy zaraz róść zaczynają
Za nieszkodliwość gwarantuje się
Jeżeli to nie jest prawdą, to zapłacimy
5000 marek gotówką
każdemu nie mającemu brody, łysemu, albo mającemu rzadkie włosy, który używał Balsamu Mos przez sześć tygodni bez skutku
P. S. Jesteśmy jedyną firmą, która daje tego rodzaju gwarancyę. Posiadamy liczne polecenia lekarzy, opisy i uznania.
Przed naśladownictwami energicznie się ostrzega.
Wskutek prób, dokonanych przezemnie na pańskim „Balsamie Mos“ mogę panu donieść, że jestem zeń nadzwyczaj zadowolony. Już po ośmiu dniach okazał się znaczny porost włosów, a pomimo, że włosy były jasne i miękkie, były jednak bardzo silne. Po dwóch tygodniach broda zaczęła powoli przybierać swój naturalny kolor i dopiero wtedy rzucało się w oczy nadzwyczaj dodatnie działanie pańskiego balsamu. Dziękując najuprzejmiej pozostaję z szacunkiem I. C. Dr. Tverg. Kopenhaga
Pakiet „Balsamu Mos“ 5 guldenów. Opakow. dyskretne. Przesyła się za poprzedn. nadesłaniem należytości albo za zaliczką. Proszę adresować do **największego specyalnego składu na świecie:**
Mos Magazinet, Kopenhaga 372 (Dania).
Pocztówki należy frankować marką 10-halerzową, listy marką 25-halerzową.

Magazyn Henryka Schwarza
KRAKÓW, GRODZKA 13
Adres telegraficzny: Haschwarz Kraków. Telefon 43.
Czek pocztowej Kasy Oszczędności Nr. 800.803. Telefon 43.
Wykwintne Nowości na karnawał.
Artystyczne wykonanie toalet we własnych pracowniach.
Płaszcze gumowe. * Rękawiczki. * Wachlarze.
Ruble przy zakupie po Kor. 2·56.

Nowość!
w tutkach cygaretowych pod nazwą: **„TEMIDA“**
poleca znana ze swych wyrobów
Fabryka Rudolfa Herliczki
W KRAKOWIE.
Nowość!

MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ
Leona Grabowskiego w Krakowie, Plac Maryacki L. 9 róg Rynku głównego
poleca bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek strojnych i angielskich, boa strusich i rękawiczek.
Sprzedaż materyałów na metry. WŁASNA PRACOWNIA.

Józef Bezdek tapicer i dekorator poleca się Szanownej P. T. Publiczności. Lwów, Pańska 15

MAURYCY LEBLANC.

WYDRĄŻONA IGŁA.

Tajemnicze przygody Arseniusza Lupina.

19 (Ciąg dalszy).

— Ależ nie, nie, mówiła zdziwiona, nie brakowało żadnej kartki.

— A jednak wyrwano je...

— Przecież książka ta przez całą noc była w mym pokoju.

— A rano?

— Rano zniosłam ją sama tutaj, gdy oznajmiono przybycie pana Massibana.

— A więc?

— Ja nie rozumiem... chyba że... ale nie...

— Co takiego?

— Jerzy... mój syn... bawił się rano tą książką.

Wyszła pospiesznie w towarzystwie Beautreleta Massibana i barona. Chłopca nie było w pokoju. Szukano go wszędzie. Znaleziono go wreszcie, jak bawił się zamkiem. Wszyscy jednak obecni byli tak podnieceni i pytali go z taką powagą, iż dziecko zaczęło płakać.

Wezwano służbę i ją badano. Chciano odrazu zbadać całą prawdę. W domu powstał tumult nie do opisania. Beautrelet miał wrażenie, że poznanie tajemnicy wymyka mu się z rąk, jak woda przeciekająca poprzez palce. Opanował się z wysiłkiem, wziął pod ramię panią de Villemon i razem z baronem i Massibanem wrócił do salonu.

— Książka jest niekompletna — rzekł — dobrze, dwie kartki z niej wyrwano... lecz pani je przeczytała, prawda?

— Tak.

— Pani wie, co one zawierały?

— Tak.

— Czy może pani nam to powtórzyć?

— Owszem. Całą książkę przeczytałam z wielką ciekawością, te dwie jednak kartki zainteresowały mnie szczególnie ze względu na wyjaśnienia i na ich doniosłe znaczenie.

— Proszę więc, niech pani mówi, błagam o to panią. Te wyjaśnienia są niezwykłej wagi. Proszę, niech pani mówi, czas stracony nigdy nie powraca. Igła wydrążona...

— Oh! to jest bardzo proste. Igła wydrążona znaczy...

W chwili tej wszedł służący.

— List dla pani...

— Tak?... przecież listonosz nie przyszedł.

— Jakiś chłopiec go przyniósł.

Pani de Villemon przeczytała i nagle przyciskając rękę do serca, osunęła się na fotel blada i bliska omdlenia. List zsunął się na podłogę. Beautrelet podniósł go i bez wahania przeczytał:

„Proszę milczeć, w przeciwnym razie syn pani nie obudzi się...“

— Mój syn... mój syn...—powtarzała tak osłabiona, iż nie miała nawet mocy iść na pomoc temu, komu grożono.

Beautrelet uspakajał ją.

— To nie jest na seryo... to jakiś niesmaczny żart... komuż by zależało na tem?...

— O ile, poddał Massiban, nie działa tu sam Arsenjusz Lupin.

Beautrelet dał mu znak, by milczał. Wiedział on dobrze, że nieprzyjaciel jest znowu tutaj czujny i zdecydowany na wszystko i dlatego chciał od pani de Villemon dowiedzieć się jak najprędzej, wyrwać z niej natychmiast to wyjaśnienie.

— Błagam panią, niech pani się opanuje... jesteśmy przecież wszyscy tutaj... nie grozi żadne niebezpieczeństwo...

Czy zacznie mówić? Tak sądził, spodziewał się tego. Wyszeptała kilka słów. Lecz drzwi otworzyły się znowu i wbiegła przez nie bona. Zdawała się być przestraszoną.

— Pan Jerzy... proszę pani... pan Jerzy...

Odrazu matka odzyskała wszystkie siły. Popychana instynktem, który ją nie mylił, zbiegła po schodach, wyprzedzając wszystkich, minęła westibul i wpadła na torasę. Tutaj na fotelu leżał nieruchomo mały Jerzy.

— Spi!...

— Usnął nagle, proszę pani — tłómaczyła bona — chciałam mu nie pozwolić i zanieść do pokoju, zasnął jednak odrazu i rączki jego stały się zimne.

— Zimne! — jęknęła matka... — tak, zimne... ach mój Boże! mój Boże! byle tylko się obudził!

Beautrelet wsunął rękę do kieszeni spodni, schwycił rączkę rewolweru, odciągnął kurek i wyciągając szybko broń zmierzył do Massibana.

Massiban, jakby śledził zawczasu jego ruchy, odskoczył z pod lufy, lecz w tej chwili Beautrelet rzucił się na niego, wołając na służbę:

— Do mnie... to Lupin...

Pod siłą skoku Massiban przewrócił się na jeden z foteli.

Nie upłynęło nawet kilka sekund, gdy podniósł się, trzymając w ręce rewolwer Beautreleta i pozostawiając na miejscu zadyszanego młodego człowieka.

— Dobrze... doskonale... nie ruszaj się... będziesz ziajał przez kilka jeszcze minut... Dużoś czasu zużył, zanim mnie poznałeś... Muszę wyglądać jak prawdziwy Massiban?...

Wyprostował się, głowę podniósł do góry i spoglądając z pewną siebie miną na trzech przestraszonych służących i barona, śmiał się.

— Izydorze, znowu spaliłeś na panewce. Gdybyś im nie powiedział, że jestem Lupin, skoczyliby mi do gardła. A wobec takich chłopów jak oni, coby się ze mną stało? Mój Boże! Czterech na jednego!

Zbliżył się do nich:

— Nie bójcie się moje dzieci... nie zrobię wam szkody... napijcie się wody, to was orzeźwi. Ach! i ty, tu poznaję cię. Tobie zapłaciłem, byś zaniósł list swej pani... Prędzej, prędzej, niegodny sługo...

Wziął banknot, który mu podał służący i podarł go na drobne kawałki.

— Pieniądze za zdradę... brudzą one ręce.

Zdjął kapelusz i kłaniając się nisko przed panią de Villemon, rzekł:

— Czy przebaczy mi pani? Okoliczności życia, a zwłaszcza mojego zmuszają nieraz do okrucieństwa, od którego sam się rumienię. Niech pani nie lęka się jednak o swego syna, jest to tylko ukłucie, maleńkie ukłucie, które mu zadałem podczas gdy go pytano. Za godzinę najwyżej nie będzie najmniejszego śladu... Jeszcze raz proszę wybaczyć mi to, potrzebowałem jednak pani milczenia.

Skłonił się znowu, podziękował panu de Velines za jego miłą uprzejmość i gościnność, wziął laskę, zapalił papierosa, częstując nim barona, kiwnął wszystkim głową, zawołał protekcyjnie do Beautreleta:

— Bądź zdrów, bębnie!

I odszedł spokojnie, puszczając dym w nos zdumionej służbie...

Beautrelet przeczekał kilka minut. Pani de Villemon czuwała nad swym synem. Podszedł ku niej, by zwrócić się do niej z ostatniem błaganiem. Wzrok ich skrzyżował się. Nie rzekł juz nic. Pojął, że ona teraz, coby się nie stało, nie wymówi o tem ani jednego słowa. W umyśle jej matki tajemnica Igły Wydrążonej zapadła tak głęboko, jak i w zmroku przeszłości.

Zrezygnował wobec tego i odjechał.

Było pół do jedenastej. Pociąg odchodził o jedenastej pięćdziesiąt. Wolnym krokiem przeszedł przez aleje parku i wyszedł na drogę, wiodącą do dworca.

— I jakże, cóż ty o tem powiesz?

Był to Massiban. a raczej Lupin, który wyszedł z przydrożnego lasku.

— Dobrze było wszystko ułożone? Jakże ci się podoba twój stary przyjaciel? Jestem pewny, że już tu nie powrócisz, prawda? i pytasz się teraz, czy tak zwany Massiban, członek Akademii, istnieje rzeczywiście? Owszem, istnieje. Pokażę ci go nawet, o ile będziesz grzeczny. Muszę ci jednak naprzód oddać rewolwer... Patrzysz, czy jest nabity? Ależ tak, mój drogi. Jest w nim pięć kul, z których jedna wystarczyłaby do wysłania mnie *ad patres*... Chowasz go do kieszeni?... Bardzo pięknie... Wolę to, niż tamto, coś uczynił w zamku... Brzydki był twój ruch!... Lecz co było robić, jest się młodym, spostrzega się nagle, niespodzianie, że znowu jest się wywiedzionym przez tego przeklętego Lupina, że ma go się przed sobą na trzy kroki... pfffft, strzela się... Nie mam do ciebie za to żalu... Na dowód zapraszam cię do swego samochodu o sile stu koni. Zgoda?

Włożył dwa palce do ust i zagwizdał.

Kontrast między poważnym wyglądem starego Massibana a łobuzerskimi ruchami i akcentem Lupina był tak komiczny, iż Beautrelet nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

— Roześmiał się! roześmiał się! — zawołał Lupin, podskakując z radości. — Wiesz, bębnie, czego ci brak? uśmiechu... jesteś za poważny na swój wiek. Jesteś bardzo miły i sympatyczny, masz w sobie urok naiwności i prostoty... brak ci jednak uśmiechu.

Stanął przed nim.

— Założę się, że się rozpłaczesz. Wiesz, w jaki sposób cię śledziłem? w jaki sposób dowiedziałem się o liście Massibana do ciebie i o spotkaniu, jakie ci naznaczał na dzisiaj rano w zamku Velines? Przez gadatliwość przyjaciela, u którego mieszkasz... Dowierzasz temu głupcowi, a on nie ma nic lepszego do roboty, jak lecieć z tem zaraz do swej kochanki... A ona nie ma sekretu przed Lupinem. Co ci powiedziałem? Oczy twe już pełne łez... przyjaźń zdradzona, co? sprawia ci to przykrość... Jesteś rozkoszny, mój mały... Uściskam cię... masz zawsze zdziwione wejrzenie, które mnie rozczula... Przypominam sobie ciebie w Gaillon, gdyś mnie się radził... Ależ tak, to ja byłem starym notaryuszem... Śmiejże się, bąkn... Powtarzam ci, że ty naprawdę nie masz uśmiechu. Nie masz, jakby to powiedzieć... brak ci impulsywności. A ja mam impulsywność.

Słychać było zbliżający się samochód.

Lupin schwycił niespodzianie Beautreleta za rękę, wpił się w niego oczami i rzekł chłodno:

— Będziesz teraz spokojny, co? widzisz, że nic nie poradzisz. Po co zużywać swe siły i tracić czas? Dosyć jest bandytów na świecie... Chwytaj ich, a mnie zostaw... bo... No zgoda już, prawda?

Wstrząsnął nim, jakby chciał poddać go swej woli, potem zawołał:

— Jakiż ze mnie głupiec! Ty masz mi odbierać spokój... Ach! nie wiem, co mnie powstrzymuje... Raz, dwa i byłbyś związany, zakneblowany, a za

dwie godziny w jakiem ustronnem miejscu na kilka miesięcy... Jabym mógł zatrzeć za sobą wszystkie ślady, cofnąć się w spokojne zacisze, jakie przygotowali mi moi przodkowie, królowie Francyi i korzystać ze skarbów, jakie uprzejmie zebrali dla mnie... Ale nie, postanowiono, bym do końca robił głupstwa... Cóż chcesz? A zresztą nic jeszcze nie dokonałeś. Dużo jeszcze upłynie wody w Sekwanie, zanim zajrzysz w wydrążenie Igły... Ja. Lupin, potrzebowałem na to dziesięć dni, tobie nie starczy i dziesięć lat. Jest pewna różnica między nami.

Zajechał wielki zamknięty samochód. Otworzył drzwiczki. Beautrelet krzyknął zdumiony. Na siedzeniu leżał jakiś człowiek i tym człowiekiem był Lupin, a raczej Massiban.

Wybuchnął śmiechem, domyślając się odrazu wszystkiego. Lupin rzekł mu:

— Smiej się, on śpi dobrze. Przyrzekłem ci, że go zobaczysz. Rozumiesz teraz wszystko? Około północy wiedziałem o waszem *rendez-vous* w zamku. O siódmej rano byłem już tam. Gdy Massiban przechodził, nie było z nim kłopotu... Małe ukłucie i już był gotów! Śpij, poczciwcze, śpij. Złożymy cię na murawie... Tak... dobrze... doskonale.. na słońcu, by ci było ciepło... Wspaniale... kapelusz do ręki i kilka susów do kapelusza... Ach! mój stary Massibanie, po co ty zajmujesz się Arseniuszem Lupinem!

Był to istotnie niezwykły widok, jaki stanowiło tych dwóch Massibanów, jeden uśpiony ze zwieszoną głową, drugi poważny, pełen uprzejmości.

— Miejcie litość nad biednym starcem... Masz, Massiban, dwa susy i mój bilet wizytowy... A teraz, dzieci, pędźmy naprzód. Siadaj, Izydorze! Dzisiaj pełne posiedzenie Instytutu, na którem Massiban ma o pół do trzeciej czytać jakieś sprawozdanie. I przeczyta je. Postaram się o prawdziwszego Massibana od prawdziwego, z moimi poglądami na napisy kamienne. Raz przynajmniej będę członkiem Akademii!... Prędzej, robimy dopiero po 115 na godzinę... Boisz się? Zapominasz, że jesteś z Lupinem? Ach! Izydorze i ludzie mówią, że życie jest monotonne, kiedy życie jest wspaniałe, tylko trzeba umieć żyć... Dusiłem się od śmiechu w zamku, gdyś ty słuchał nudzenia starego barona, a ja oparty o framugę okna wydzierałem kartki z historycznej książki! I jakżeś ty wypytywał panią de Villemon o wydrążoną Igłę! Czy chciała mówić? Tak, mówiłaby... Gdyby mówiła, całe swe życie musiałbym zaczynać na nowo... Czy służący przyszedł w czas? Tak i nie... Lecz Beautrelet mnie zdemaskuje! — myślałem. — Nie! nie pozna! Tak... nie... już poznał... tak, tak... ogląda mnie... tak... sięga po rewolwer... Ach! co to była za rozkosz, jakie przejmujące chwile! Pamiętam każde swe wrażenie, każdą myśl!... Za wiele jednak mówimy o tem... Zdrzemnijmy się! Sen mną owłada...

Beautrelet przyglądał mu się. Zdawał się już spać. Spał.

Samochód mknął w przestrzeni z zawrotną szybkością, w której miasta, wsie, pola, rzeki, lasy łączyły się w jeden ciągle zmienny i ciągle ten sam obraz.

Beautrelet przypatrywał się przez dłuższy czas swemu towarzyszowi podróży, pragnąc przeniknąć go, dotrzeć poprzez okrywającą go maskę aż do wnętrza jego, wyrwać mu ukrywaną tajemnicę. Zmęczony jednak wzruszeniami i zawodami tego ranka, sam przymknął powieki i wkrótce zasnął.

Gdy się obudził, Lupin czytał jakąś książkę. Nachylił się, by zobaczyć jej tytuł. Były to „Listy do Lucillusa Seneki“.

VIII.

Od Cezara do Lupina.

„Ja Lupin, potrzebowałem na to dziesięć dni, tobie nie starczy i dziesięć lat!“

Zdanie to, wypowiedziane przez Lupina po wyjściu z zamku, wywarło znaczny wpływ na postępowanie Beautreleta. Zawsze spokojny i zawsze panujący nad sobą, Lupin miewał mimo to chwile egzaltacyi i wzruszeń romantyczno teatralnych, podczas których wyrywały mu się pewne wyznania, pewne nieroztropne słowa; z nich właśnie mógł dla siebie wyciągnąć korzyść Beautrelet. Słusznie czy niesłusznie Beautrelet uważał jednak, że w tem zdaniu mieści się właśnie jedno z takich mimowolnych wyznań. Mógł teraz wnioskować, że jeżeli Lupin nie przeprowadza porównania między swymi wysiłkami a jego w celu zdobycia prawdy Igły Wydrążonej, to znaczy, że obydwaj posiadają jednakowe środki w dojściu do celu, że Lupin nie miał innych ku temu danych, jak te, ktoremi rozporządza i jego przeciwnik.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ZAKŁAD POGRZEBOWY JANA WOLNEGO
Telefon 331. KRAKÓW, ulica św. Tomasza L. 4. Telefon 331.

Kalosze rosyjskie i amerykańskie.
Wałeczki elastyczne, kit i gips do uszczelniania drzwi i okien od zimna.
ROGOŻKI KOKOSOWE, SZCZOTKOWE i ŻELAZNE.
OLIWY do maszyn i automobilów krajowe, mineralne i kaukazkie.
Oliwa lecerska i rzepakowa.
LATARKI stajenne i ręczne.
Wyroby szczotkarskie. Szczotki do czyszczenia sukien. Szczotki do zamiatania. Szczotki i aparaty do froterowania. Szczotki i aparaty do czyszczenia dywanów.
SAPINOL do czyszczenia metali i przyborów i kuchennych.


Sanki (Rodle) sportowe
Sanki dla dzieci.
Sanki szwajcarskie z kier. i hamulcem
SKI (NARTY)
laski bambusowe do Nart. — Obręcze śniegowe.
Polecają najtaniej
Reim i Ska, Kraków
RYNEK 37.

MYDŁA! MYDŁA!


1 karton 3 sztuk za koron 2·—.
Perfumy, mydła i pudry
Krajowe, francuskie i angielskie.
SCHAMPOO-TAROOL do mycia głowy i przeciw łupieżowi.
„ABARID“ krem i płyn przeciw zmarszczkom.
Mydła kwiatowe o silnych zapachach 1 karton 6 sztuk za koron 1·—

Materyały i krój angielski
Pierwszorzędna Pracownia SUKIEN MĘSKICH
Leona Grabowskiego
właściciel firmy: Gabryel Grabowski
Wykończenie artystyczne.
w Krakowie. ulica Szpitalna L. 36. Telefon Nr. 561.


Zdzisław Zdanowicz, Kraków
ulica Sławkowska L. 3. — Hotel Saski — Telefon 516.
Magazyn galanteryjny.
Skład bielizny, kapeluszy, obuwia i przyborów do podróży.


Zagadki do nagrody.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył M. Kościński, Żarki.

Podane litery tak poprzestawiać, by powstało znane polskie przysłowie:
Cetnar, Chiwa, kocię, miękki, wyje.

Szarada.

Ułożył W. Rapacz, Żarki.

Druga z pierwszą, napełniona wodą,
Do przebycia niekiedy wielką jest przeszkodą.
Pierwsza odwrotnie to rzymska moneta
Całość zaś tytuł powieści Daudet'a.

Łamigłówka.

Ułożyła A. Zimmerówna, Żarki.

Uzupełnić podane wyrazy, by ich początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzyły nazwę jednej z sekt anglikańskich.

— ar
— ea
— ony
— ara
— ej
— wa
— er
— ris
— ej
— ak
— quilo
— uma
— gor
— an
— ara

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Leopolda Staffa*: **Igrzysko.**

Logogryf geograficzny.

Ułożyła M. Pirowska, Żarki.

Środkowe litery odpowiednio dobranych wyrazów, czytane z góry na dół, utworzą nazwę jednego z cudów natury, znanego w całym świecie.

☐
— ☐ —
— — ☐ — —
— — — ☐ — — —
— — — — ☐ — — — —
— — ☐ — —
— — — — ☐ — — — —
— — ☐ — —
— — — ☐ — — —
— — — ☐ — — —
— — ☐ — —
— — ☐ — —
— — — ☐ — — —
— — ☐ — —
— ☐ —

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Rzymska bogini rannego świa ła. 3. Miasto we Włoszech. 4. Kanton szwajcarski. 5. Szczyt alpejski. 6. Dopływ Dniepru. 7. Prawo powszechnego przyciągania we wszechświecie. 8. Wyspa azyatycka. 9 Posiadłość francuska w Afryce. 10 Zagłęb enie, powstałe skutkiem dział nia siły hydrodynamicznej. 11. Skała pierwotna. 12. Jezioro w Królestwie Polskiem. 13. Starożytny pałac królów maurytańskich w Sewilli. 14. Rzeka w Rosyi. 15. Jeden z dwunastu znaków Zodyaku.

Łamigłówka literacka.

Ułożyła W. Bartnikówna, Żarki.

Wymienić po jednem dziele następujących autorów:

Calderon ?
Fredro ?
Sienkiewicz ?
Rousseau ?
Kraszewski ?
Göthe ?
Dumas ?
Sofokles ?
Słowacki ?
Liwiusz ?

Początkowe litery tytułów tych dzieł, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko słynnego poety hiszpańskiego.

Logogryf.

Ułożył K. Jazienicki, Małkowice.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby utworzyły szereg wyrazów o podanem niżej znaczeniu. Litery środkowe, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko znakomitego polskiego poety.

☐
— ☐ —
— — — ☐ — — —
— — ☐ — —
— ☐ —
☐
— — ☐ — —
— — ☐ — —
☐
— — — ☐ — — —
— — ☐ — —
— ☐
— — — — ☐ — — — —
— — — ☐ — — —
— — — — ☐ — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Zwierzę nieparzystokopytne. 3. Potok w Karpatach, tworzący piękny wodospad. 4. Miasto w Afryce. 5. Przysłówek. 6. Spółgłoska. 7. Środek pnia drzewnego. 8. Miasteczko w Galicyi Wschodniej. 9. Spółgłoska. 10. Zwierzę, stanowiące przejście od ssaków do ptaków. 11. Rzecz, koniecznie potrzebna w gospodarstwie rolnem. 12. Wół azyatycki. 13. Wyspa na północy. 14. Miasto w południowej Azyi. 15. Inaczej ubóstwiana.

Pension Nouvelle

W KRAKOWIE
UL. ZACISZE L. 5
(W POBLIŻU DWORCA KOLEJ.)
NA I-SZEM i II-GIEM PIĘTRZE

POKOJE UMEBLOWANE
OD 2 KOR. i WYŻEJ.

|| NA ŻĄDANIE: ||
OBIADY, KAWA, HERBATA.

Kto ma poczucie piękna i jest zwolennikiem dobrej muzyki, wybierze jedynie znakomity francuski

„PATHÉFON“

który tak muzykę, jak i głos ludzki oddaje nadzwyczaj wyraźnie i czysto, z naturalną siłą i barwą. Gra bez zmiany igły, szafirem, na płytach nieskończenie trwałych. Jedyny do tańca. **Nowe wspaniałe zdjęcia polskie.** Korzystna wymiana starych płyt. — Przeróbki gramofonów na system Pathé. — Naprawy we własnej pracowni.



Stefan Grudziński i Tadeusz Berger, Kraków, Szewska 10. Tel. 305.
Ceny niskie. Żądajcie cenników i spisów darmo i opłatnie.

Marka ochronna: „Kotwica“
Liniment. Capsici comp.,
zastąpienie
Kotwicznego Pain-Expelleru
jest powszechnie znane jako **wyśmienite, bóle uśmierzające i odciągające nacieranie w zaziębieniach itd.**, do nabycia we wszystkich prawie aptekach po cenie 80 hal., K 1.40 i 2 K. Przy kupnie tego wszędzie ulubionego środka domowego trzeba przyjmować tylko butelki oryginalne w pudełkach z naszą ochronną marką **„Kotwicą“**, wtenczas jesteśmy pewni, że otrzymaliśmy preparat oryginalny.
Apteka Dr. Richtera pod „Złotym Lwem“
w Pradze, ulica Elżbiety No. 5 nowy

NA RATY!
Srebrne zegarki remont., złote łańcuszki męskie i damskie. Towar prawdziwy, urzędownie cechowany. Miesięcznie 4 kor. bez podnoszenia ceny. Dostawa szybka i na każde miejsce. Żażądaj Pan karty zamówienia. Największy z tego działu dom wysyłkowy sprzedający na raty.
R. Lechner, Lundenburg Nr. 78.



Za darmo!
i opłacony, wysyła bogato ilustr. cennik zegarków, łańcuszków, pierścieni i wszelkich biżuteryi złotej i srebrnej, które najtaniej poleca
Emil Goldwasser, Kraków, ul. Grodzka 58.

Kalendarze Ungra na rok 1910

KALENDARZ WARSZAWSKI ILLUSTROWANY
POPULARNO-NAUKOWY

Wydany obecnie kalendarz na rok 1910 liczy 65-ty rok istnienia, mieści w sobie artykuły celniejszych pisarzów, obszerny dział informacyjny i adresowy, taryfę domów, przepisy pocztowe i telegraficzne.
Cena kalendarza kop. 60. Z przesyłką pocztową **kop. 85.**

Dziennik cena egzempl. ozdob. oprawionego kop. **30**. Z przesyłką poczt. kop. **45.**

Do nabycia w Biurach Ungra: Wierzbowa 8, wprost Niecałej **i Aleja Jerozolimska 78,** oraz **we wszystkich księgarniach.** Osoby zamieszkałe na prowincyi, po nadesłaniu **rubla jednego** na powyższe **dwa** kalendarze, otrzymają **franko.**